Nr. 36. Poznań, niedziela 6-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: ul. Wilhelmowska 28. (Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

TREŚĆ.

Konstytucya trzeciego maja.

Przed kilku tygodniami „Spółka wydawnicza polska w Krakowie“ wydała jako tom IX. dzieł ks Waleryana Kalinki ustęp z pozostałych po tym historyku rękopisów, zatytułowany „Konstytucya trzeciego maja“. Książka zawiera dwa rozdziały: 1) „Stosunki europejskie i przygotowania w Warszawie do konstytucyi trzeciego maja“. 2) „Zamach stanu“. W rozdziale drugim znajdujemy ocenę konstytucyi.

Pomimo obfitej względnie literatury, traktującej ten przedmiot, wiele jeszcze pozostało stron ciemnych. Trudności bowiem, jakie napotyka tu badacz, są olbrzymie. Trafnie charakteryzuje je ks. Kalinka.

„Przygotowania do konstytucyi trzeciego maja musiały być z natury swojej robotą konspiracyjną, i jak każda konspiracya nie nadają się prawie do historyi. Tam, gdzie wszystko dzieje się w szczupłem kole i w najgłębszej tajemnicy, tam nie może być mowy o dokumentach jasnych, ciągłych i wiarogodnych; tam co moment zdarzyć się musi jakaś rzecz ukryta, do której wyjaśnienia źródeł nie ma; i z takimto brakiem dokumentów spotykamy się w tej chwili. Żaden z uczestników tego dzieła nie chciał w zupełności wyjawić, jak ono się zrodziło. Zrazu wstrzymywała ich może obawa, by się nie przyznawać, jak mała garstka ludzi dokonała tej zmiany; a później, gdy rzecz upadła i twórców i naród cały w przepaść popchnęła, tem więcej mieli powodów, by jej początek zostawić w ciemności.

„Głównem źródłem, z którego czerpali polscy historycy do opisania tego epizodu, była znana książka: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja“, ale źródło to skąpe, i, co gorsza z umysłu zamącone. Po za niem trochę listów oderwanych, kilka wspomnień albo wyznań przelotnie wtrąconych, oto wszystko, co nam z tych czasów pozostało i na czem historyk oprzeć się dziś musi. Rzecz prosta, że ktoby chciał z takich okruchów odtworzyć obraz, bez domysłów obejść się nie może“.

Zastrzeżenie to tem bardziej konieczne, że obrazy ks. Kalinki są układane jak mozaika z drobnych fakcików, badanych skrupulatnie, o ile na to pozwala materyał, ale nie zawsze odpowiadają w kolorycie charakterowi, epoki, jaką odzwierciedlać mają. Prócz tego można cenić pracę tego historyka, a pomimo to nie szczędzić mu zarzutu ciężkiego, że uprzedza się bezwzględnie do historycznych postaci i względnie do swoich sympatyi lub antypatyi arbitralnie dosyć stawia je po lewicy lub po prawicy.

Czytając książkę Kalinki czytelnik tak musi przedstawić sobie historyę przygotowań do „zamachu stanu“. Sejmiki listopadowe roku 1790 oświadczyły się prawie jednogłośnie za obieralnością króla; pomiędzy jedenastu prawami kardynalnemi, uchwalonemi pod koniec tegoż roku, jeden warował wolne wybieranie królów. Te dwa fakty były dwiema porażkami dla stronnictwa reformy, które jako jeden z postulatów dla polepszenia rządu stawiało dziedzictwo tronu. Wówczas stronnictwo reformy przemieniło się w spisek. Małachowski Stanisław, Ignacy Potocki, książe jenerał ziem podolskich, Kołłątaj, Linowski i Lanckoroński zbierają się na tajne narady i „przemyśliwają — to słowa Kalinki — jak podnieść na nowo sprawę sukcesyi“. Przekonali się jednakże, że bez króla niczego dopiąć nie można. Przy pomocy więc sekretarza królewskiego, zręcznego włocha Piatolli, dało im się wciągnąć Stanisława Augusta. Król dał się uprosić napisał po francusku projekt konstytucyi, który oddano Kołłątajowi do „poprawienia i wykończenia w niektórych punktach“. — Potem kilka nieprzewidzianych wypadków powstrzymuje prace przez miesiąc blisko. 18-go kwietnia przyjęto jednomyślnie prawo o miastach. Ten sukces dodaje otuchy, a groźne wiadomości z zagranicy, donoszące, że Anglia zmienia front względem Rosyi, zmuszają do pośpiechu. Wtajemniczono tedy znaczniejszą liczbę posłów oraz ministrów: Mniszcha, Chreptowicza, kanclerza Małachowskiego. Od ostatniego. jak niesie fama, dowiedzieli się o planach stronnicy Moskwy. Wówczas król kazał przyspieszyć zamach i dokonać go trzeciego maja.

Otóż co do pojedyńczych faktów są one znane i niewiele nowego powiedział ks. Kalinka, chodzi jednakże o całokształt obrazu. W przedstawieniu naszego historyka zatraca się związek pomiędzy konstytucyą a całą długoletnią pracą stronnictwa reformy. Dwie przegrane, o jakich była mowa, zupełnie niweczą stronnictwo, pozostaje tylko spisek i wówczas król jegomość, ten sam król, który nigdy nie był zdolnym do powzięcia i wykonania jakiegokolwiek planu politycznego, który celował jedynie w maluczkich intrygach, a i tu zostawał pobity przez jedynych godnych siebie przeciwników, przez intrygantki wielkiego świata, ten król staje się osią, dokoła której wszystko się kręci. Przytem nawet król ten stawia trafny plan uzyskania dla sprawy elektora saskiego, jako następcy tronu polskiego, oraz dworu berlińskiego, lecz plan ten nie zostaje wykonany, ponieważ Ignacemu Potockiemu uroiło się, że to nie potrzebne. Całe zaś stronnictwo reformy schodzi z widowni, członkowie jego dowiadują się dopiero o fakcie dokonanym, a wódz duchowy tego stronnictwa, Hugo Kołłątaj, tyle tylko bierze udziału, że tłomaczy rękopis królewski na polski język i czyni poprawki.

Sądzimy, że takie przedstawienie rzeczy niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Cała literatura sejmu czteroletniego, stworzona przez stronnictwo reformy świadczy o tem, w jak ścisłym organicznym związku były ideje zawarte w konstytucyi z ideją przewodnią całego stronnictwa. Sądzimy przeto, że nie w głowie królewskiej wylągł się ten pomysł. Jeżeli króla wciągnięto do spisku, jeżeli dla formy powierzono mu napisanie projektu, jeżeli później projekt chwalono z obowiązków grzeczności, to przecież możliwem i bardzo prawdopodobnem jest, że owe „poprawki“ dokonane przez Kołłątaja były poprawkami zmieniającemi rzecz doszczętnie. Inaczej nie można wytłómaczyć bliskiego pokrewieństwa tej konstytucyi z projektem, jaki Kołłątaj już dawno był złożył w „Listach anonyma do St. Małachowskiego.“ Projekt ten pod względem społecznym o całe niebo stoi ponad konstytucyą 3-go maja. Pierwszy bowiem ustęp praw kardynalnych brzmi tu: „Wszelki człowiek w państwach Rzeczypospolitej urodzony, zamieszkały albo przychodzień, wolny

jest!“ — podczas gdy konstytucya uświęca niewolę chłopa „na wieki“. To cofnięcie Kołłątaja jednakże tłumaczy się tem, że przekonawszy się z biegiem czasu o niedostateczności sił swego stronnictwa robił koncesye szlachcie krok za krokiem, aż doszedł do owej konstytucyi. W każdym jednak razie stronnictwo to nie potrzebowało jeszcze rezygnować i składać ster wypadków w niedołężne ręce królewskie. Poniosło ono porażkę przez wota sejmików i przyjęcie praw kardynalnych, ale jego wodzowie nie z tego byli przecież drzewa, co król i jegomość, i nie tak łatwo dali się zrażać niepowodzeniem. Toż przecież już 18 kwietnia stronnictwo znów odniosło sukces świetny, przeprowadzając prawo miast. Prawdopodobnem więc jest, że nie w pokoikach księdza Piatollego, ale w owej sławnej „kuźni Kołłątajowskiej“ przygotowywała się główna akcya.

Dla czegoż więc nasz historyk usiłuje przydać sprawie tak miniaturowe rozmiary, dla czego pragnie w tak odmienny sposób przedstawić rzeczy? Czyżby dla tego tylko, że ma pewną słabość do króla jegomości, którego inny historyk napiętnował ohydnem mianem łapownika, wstręt zaś czuje do reformatorów w ogóle, a do Kołłątaja, którego obrzuca błotem, w szczególe? Czy też może dla tego, że historycy tej co ks. Kalinka szkoły wiedzą bardzo dokładnie, co się działo lat temu sto w przedpokojach królewskich i gotowalniach dam, ale z konieczności tracą z oka całokształt obrazu? — Rozstrzygać nie chcemy. W każdym razie obraz kreślony przez historyka prawdziwie wielkiej ręki, historyka, który dla tego tylko nie jest sławą europejską, że pisze po polsku, przez Tadeusza Korzona, więcej przemawia do przekonania.

W drugim rozdziale, jak wspomniano, znajdujemy ocenę konstytucyi trzeciego maja. Dział ten na tem baczniejszą zasługuje uwagę, że dotąd więcej znaleźć można w literaturze polskiej frazesów panegirycznych, aniżeli ocen krytycznych tego dziejowego aktu. Dla czego tak jest, trafnie wyjaśnia Kalinka: „Nie łatwo jest Polakowi mówić o konstytucyi 3-go maja, w której czci wychował się od dzieciństwa, z którą wszystkie starania nasze w bieżącym wieku czynione o odzyskanie niepodległości mają pewne pokrewieństwo i w której trzy z kolei pokolenia przyuczyły się widzieć jakby ostatnią wolę gasnącej matki. Ale mniemamy, że dziś po stu latach historya powinna odzyskać swe prawa i dać głos trzeźwemu sądowi, choćby ten sąd miał zaboleć i wydać się nieuszanowaniem wielbionej długo relikwii.“

Ktokolwiek czytał broszury i artykuły pisane w stuletnią rocznicę konstytucyi, które, czy wychodziły od zachowawców czy od partyi krańcowych, brzmiały jednym hymnem pochwały bezkrytycznej, nie odmówi słuszności tym uwagom. Błądziłby wszakże, ktoby ze słów Kalinki chciał sądzić, że literatura polska nie posiada również innych ocen. Istnieją bowiem krytyki, może za ostre nawet, jakkolwiek płynęły z pod pióra ludzi, którym patryotyzmu nikt zaprzeczyć nie śmie, bo go dowiedli nie frazesem, ale krwią przelaną na polach walki o niepodległość. Mówimy o pismach członków dawnego Towarzystwa demokratycznego polskiego. Publicyści współcześni przywykli wprawdzie o pismach tych mówić tonem politowania i lekceważenia, a przecież zawierają one nieraz myśli światłe i głębokie, które dla społeczeństwa polskiego i dziś jeszcze są nowe i godne zastanowienia. Przypomnieć też warto, że pod względem formy owe broszurki są pisane częstokroć polszczyzną piękną, szlachetną i jędrną, w obec której tem smutniejsze wywiera wrażenie niejedna elukubracya współczesna, gdzie napuszoność pokrywa tylko brak myśli. Korzystam tedy ze sposobności, by przypomnieć z pism owych ocenę konstytucyi 3-go maja, napisaną w r. 1837 przez Wiktora Heltmana,[1]) a zarazem przeciwstawić tę ocenę ocenie Kalinki.

Heltman zaczyna od tego, że wykazuje szkodliwość wszelkich półśrodków, które zawsze doprowadzały do upadku ruchy rewolucyjne w Polsce i taką połowiczność właśnie zarzuca twórcom konstytucyi 3-go maja. Ta połowiczność zdaniem jego równa się zbrodni.

Wykazuje ten demokrata z przed lat sześćdziesięciu, że „potworność towarzyskiego w Polsce porządku była jedyną jej niemocy przyczyną“, i że tylko głęboko sięgająca reforma społeczna, powołująca do życia politycznego masy ludu polskiego, mogła ocalić ginącą Rzeczpospolitę. Prawodawcy trzeciego maja jednakże — powiada — „nie wznieśli się do takiej myśli, nie zstąpili do głębi, do serc narodu.... stanęli w środku, który z natury swojej będąc niedołężny, dawnej bezsilności zniszczyć nie był w stanie.“

Przechodząc następnie do krytyki rządu ustanowionego, Heltman, jako republikanin, natrząsa się nad usiłowaniem narzucenia Polakom, tym republikanom z tradycyi i zasady, fikcyi o nieodpowiedzialności króla. Wykazuje, że władza wykonawcza wzmocnioną nie została, jakkolwiek do tego dążono. „Król to tylko mógł czynić, co szlachta chciała, to jest nie naruszać jej przywłaszczeń, utwierdzać jej przywileje“. Przy ocenie społecznego charakteru konstytucyi znów wykazuje Heltmann, że „naczelne złe — wyłączne jednego stanu panowanie — nietkniętem pozostało! potworność dawnego stosunku zachowana, stosunki społeczne nie zmienione, na tejże podstawie, na przywileju oparte“. Ustępstwa miastom poczynione nie wystarczają mu; artykuł IV, o chłopach, który tylu bałamutnych twierdzeń stał się źródłem, oburza go hipokryzyą, gdyż pomimo górnolotnych frazesów nic dla chłopa nie zrobiono. „Szyderstwem, woła, są u niej (u szlachty ówczesnej), wyrazy: sprawiedliwość, obowiązki chrześciańskie, szyderstwem opieka prawa, zatwardziałym, ślepym egoizmem, dobrze zrozumiany interes....“

A oto ostateczny wyrok Heltmana: „Kiedy należało rzucić się w ostateczności, wszystko głównej myśli, ocaleniu ojczyzny, poświęcić, oni stanęli w najfałszywszem, bo w środkowem stanowisku. Dlatego wszystkie ich usiłowania, przeciwny zamierzonemu odniosły skutek. Chciano władzę wzmocnić, i nie wzmocniono jej. Elektor saski wzbraniał się przyjąć ofiarowanej mu korony, widząc, że na tronie nową konstytucyą zbudo-

[1]) Czytelnik znajdzie ją w broszurze: „Konstytucya 3 maja 1794 r. z uwagami podawanemi jej twórcom w 1789 r. oraz dwoma późniejszemi tejże konstytucyi ocenieniami. Lipsk u Kasprowicza 1865.

Nihilistka.

POWIEŚĆ
ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Dokończenie.)

— Więc, jakżeż przyjął hrabia to wyznanie — zapytałam.

— Naprzód był pełen współczucia, pocieszał mnie i powiedział, że będzie się starał, aby wszystko poszło dobrze. Dowiedziawszy się jednak, za kogo chcę wyjść, wściekał się z gniewu i nie chciał słyszeć o niczem. Zmienił ton i nagle od „ty“ przeszedł na „pani“. Już nie nazywał mnie dzieckiem, aniołeczkiem, mówił do mnie „łaskawa pani“.

— „Jeśli się zdarzy, łaskawa pani, że panienka z dobrego domu zakocha się w niegodnym człowieku, krewnym pozostaje tylko jedna rzecz: modlić się do Boga, żeby ją oświecił“.

Wtedy widziałam, że sprawa inaczej stoi. Byłam zrozpaczona.

Wiera przerwała opowiadanie.

— Więc cóż się stało, Wiero, opowiadaj dalej.

Wiera zarumieniła się.

— Widzisz, teraz sobie sama nic mogę przypomnieć, jak to było i co ja mu powiedziałam, tylko... on zrozumiał, że muszę wyjść za Pawlenkowa koniecznie, ażeby grzech pokryć i honor mój uratować.

— Ach Wiero, i tyś się nie wstydziła starego tak oszukać — zawołałam z wyrzutem.

— Biednego, starego oszukać — przedrzeźniała Wiera żartem — ja się wstydzić? dlaczegoż on się nie wstydzi? Na jego stanowisku z wpływym jaki ma, ile dobrego mógłby on zrobić, a on? Leży czołem na ziemi, może mu i w niebie dadzą takie dobre miejsce, jak tutaj, a o innych nie troszczy się wcale. Dla mnie jest uprzejmy. Dlaczego? Bo mu się moja maseczka podoba. Przypomniał sobie swoje stare grzechy, jego stara krew rozgrzała się. Tak, jest nawet za co dziękować. Czy dla tych ludzi, którzy giną w Sybirze jest on dobrym? Ani myśli. Ile wyroków śmierci sam już podpisał. Czyby mi nawet przyszło na myśl oszukiwać go, gdyby z nim można postępować po ludzku. Ale to nie można przecież; gdybym mu była powiedziała poprostu: „ratuj pan Pawlenkowa“ odpowiedziałby mi: „niech się łaskawa pani nie miesza do obcych interesów“ i skończyłoby się. Więc jakżeż nie miałam go oszukać?

Wiera chodziła po pokoju cała zarumieniona.

— No, więc dalej proszę, cóż było dalej.

— Aha; więc z początku strasznie się zgniewał, chodził po pokoju i zaczął zwyczajem starych ludzi, coś mruczeć pod nosem: nieszczęśliwa dziewczyna! zapomnieć się do tego stopnia, z takiej rodziny! Dziewczyna nie warta, żebym się nią zajmował, ale dla matki to zrobię, dla matki uratuję tego hultaja! I trzeba będzie ten grzech pokryć, żeby nie shańbić całej familii.

I tak chodzi po pokoju, a ja patrzę i słucham, śmiać mi się chce, a muszę mieć minę skruszoną. Siedząc z rękoma spuszczonemi, nie odważam się podnieść oczu — słowem Gretchen.

Wreszcie stanął przedemną i powiada tonem surowym: siadaj Wiero pisz natychmiast do cesarza, że padasz mu do nóg i prosisz go, aby ci pozwolił wyjść za twego niegodziwego uwodziciela. Ja biorę na siebie resztę, wniosę podanie i urządzę wszystko tak, żeby nie było gadaniny.

Chciałam mu podziękować, ale nie pozwolił, „nie robię tego dla ciebie, ale dla twojej matki“. Siadam i piszę za jego dyktatem, ale znowu nowa przeszkoda, on dyktuje i ani słowem nie wspomina o Sybierze. — A cóż ze Sybirem? — pytam — pójdę z moim mężem do Sybir. Stary zaśmiał się. „No, tego od ciebie nikt nie będzie wymagał, powiedział, grzech się pokryje, a ty potem żyj sobie, gdzie chcesz, jako uczciwa wdówka“. Zlękłam się, usłyszawszy te słowa. Co zrobić? Lękam się obstawać przy Sybirze, w końcu będzie to podejrzane, mo-

wanym, byłby tylko bezwładnem anarchicznej szlachty narzędziem. Chciano uspokoić sąsiednich tyranów, na odgłos rewolucyi francuskiej pobladłych, i nieuspokojono ich. Moskwa i Prusy pod pozorem zniszczenia jakobinizmu na ziemię polską wkroczyły i rozszarpały ją. Chciano nie rozdrażniać uprzywilejowanego stanu śmiałem przywłaszszeń jego zniszczeniem; a republikańska szlachta pod głosem dawnych swobód Targowicę zawiązała i obce wojska na kraj sprowadziła. Chciano masy zainteresować sprawiedliwości wymiarem, a zainteresowano tylko drobną, nic nie znaczącą cząstkę narodu. Nieszczęśliwa myśl dogodzenia wszystkim, pojednania wszystkiego: wolności z absolutyzmem, sprawiedliwości z gwałtem, energii z umiarkowaniem — wszystko zgubiła".

Tak pisał przed sześćdziesięciu blizko laty demokrata polski. Zobaczmy, co mówi najnowsza książka konserwatywnego historyka.

Na pytanie, co przyniosła konstytucya 3-go maja narodowi? odpowiada Kalinka: „Bardzo wiele. Utworzyła rząd, którego od zniesienia „rady nieustającej" nie było, skupiony w ręku króla i ministrów przezeń mianowanych; wiązała naczelne komisye dotąd od sejmu tylko zawisłe w jedność, oddając je pod rozkazy króla i straży, znosiła „liberum veto" i konfederacye: zapobiegała porywczości uchwał sejmowych przez sankcyę senatu; wyrzekała się obieralności królów, tej, jak mniemano, najprzedniejszej perły wolności polskich".

Wnet jednakże przechodzi do podkreślenia stron ujemnych i tu, o dziwo, konserwatysta okazuje zupełną zgodę z demokratą. Tak samo bowiem jak Heltman, potępia Kalinka chwiejność i niepewność, tak samo jak on przyznaje, że dla wzmocnienia władzy wykonawczej niewiele zrobiono. Trafnie twierdzi: „W tem wszystkiem, co dotyczy króla i władzy, prawodawca czuje potrzebę tłumaczyć się i uniewinniać, jakby nie prawo, ale projekt pisał; albo wikła się w swych postanowieniach, i co jedną ręką kreśli, to drugą zdaje się zacierać; albo wreszcie tak myśl swą wyraża, jakby nie chciał być odrazu i od wszystkich zrozumianym. Natomiast ilekroć mówi o władzy narodu, o stanie rycerskim i o izbie poselskiej, grzeszy umyślną rzec można napuszystością."

Co do strony społecznej powiada: „Najsmutniejszym w konstytucyi 3-go maja jest fakt, że dla chłopów nic prawie nie uczyniła. Chłopom wolnym przyznała sądy referendarskie, jeden na każdą prowincyę. Takich chłopów było zaledwo szósta część; rzadki między nimi trudnił się rolą.*) Ogromną większość włościaństwa, sześć milionów przeszło, pozostawiono w dawnem, wiekowem opuszczeniu. Wprawdzie rząd przyjmuje chłopów pod swoją opiekę, ale wtedy dopiero, gdy dziedzice zawrą z nimi umowy. Zanim się przyjdzie do tego,*) miliony ludzi cierpieć będą w wielu prowincyach stan bardzo zbliżony do niewoli. I oto państwo, które zapragnęło powstać z upadku, które wyznaje dawne swe błędy i chce poprawić swój rząd, nie robi nic dla poprawy losu tej klasy, którą samaż konstytucya trzeciego maja nazywa najdzielniejszą siłą! Rzekłby można, że szlachta polska ratując kraj, miała na pamięci nie naród cały, tylko samą siebie. Nie mogło to przynieść błogosławieństwa Bożego tej sprawie".

Tyle ks. Kalinka. Szlachta polska miała na pamięci wyłącznie siebie, — nic to nowego w dziejach ludzkości. Historya bowiem nie zna przykładu, by klasa panująca jakakolwiek poświecała swój interes dla ideałów choćby najwznioślejszych, choćby dla ideału narodowej niepodległości. Tak było dawniej, tak jest i dziś! Chodzi tylko o to, czy ta klasa przynajmniej zrozumiała swój interes. Kalinka pociesza się tem, że gdzieindziej nie lepiej bywało. Sejm węgierski oparł się projektom reformy włościańskiej Maryi Teresy; Fryderyk II nie był w stanie przeprowadzić jej w zupełności u siebie. Nie zupełnie tak jest. Szlachta polska opierała się reformom, ale je zapoczątkowano, i przeparto je w końcu po bitwie pod Jeną, kiedy groziła państwu zupełna zagłada. Zdołano tego dokonać wbrew woli szlachty, ponieważ w Prusiech ówczesnych istniały już wówczas żywioły społeczne, w interesie których leżała reforma. W Polsce jednakże nie zdołano zapoczątkować nawet reformy ogólnej i groza utraty bytu politycznego nie doprowadziło nawet do postawienia pierwszego kroku na tej drodze, do ustanowienia wymiaru pańszczyzny po nad który niewolno byłoby wychodzić. Nieuczyniła tego konstytucya. Lecz i po latach kilkunastu, kiedy Napoleon wezwał do siebie deputacyę szlachty, dla ułożenia konstytucyi, ta deputacya, pomimo ostrzeżeń jednego z członków, ograniczyła się tem, że zaproponowała wprowadzenie w życie konstytucyi 3 maja! Zachnął się bohater rewolucyi i podyktował w ciągu godziny swemu sekretarzowi konstytucyę zaczynającą się od słów: „Le servage est aboli." A panowie szlachta stali i kłaniali się w pas[1]).

Twierdzi też Kalinka o szlachcicu polskim: „żyjąc nad stan i w próżniactwie, nie miał z czego opędzić kosztów przemiany w stosunkach rolniczych, i potrzeby takich przemian nie uznawał wcale." Co do pierwszego zdania, jest ono względnie tylko słusznem. Część bowiem szlachty zawsze jeszcze rozporządzała znacznemi środkami, czego dowodem choćby to, że statyści ówcześni nie przewidują trudności w sprzedaży projektowanej starostw, a przytem do stopniowego przeprowadzenia reformy, do przejścia n. p. do systemu czynszowego szlachcic nowych znacznych nakładów nie potrzebował. Co zaś do drugiego zdania, przeczy temu cała ówczesna literatura. Nie było bowiem wówczas w Polsce tajemnicą, że przyczyną upadku polskiego rolnictwa była niewola chłopa. To też wielu z ziemian nietylko uznawało potrzebę przemian w stosunkach rolniczych, lecz je pozaprowadzało. Inaczej więc rzecz wyjaśnić należy, i sądzimy że wyjaśnia się prosto bar-

*) Przypisek oryginału: „Byli to tak zwani bartnicy albo rudnicy; oprócz nich mała garstka osad niemieckich Olendrów. Konstytucya nie wspomina o sądach referendarskich dla chłopów z królewszczyzn i ekonomii, które dawniej istniały. Jaka przyczyna tego opuszczenia? Być może, że takiem ograniczeniem władzy posesora nad chłopami nie chciano utrudniać sprzedaży starostw, o której już wówczas zamyślano."

*) „A czy przyjdzie do tego? Naiwnym byłby szlachcic, gdyby zawierał takie umowy dobrowolnie, a rząd go, tymczasem przynajmniej, nie zmuszał".

[1]) Świetną tę scenę opisuje Wybicki w swoich „Pamiętnikach."

że się domyślić, o co chodzi. Nagle wpada mi znakomita myśl do głowy. Powiadam mu, że chcę odpokutować za grzech i dlatego pragnę pójść na Sybir z moim mężem. Stary zrozumiał, było to po jego myśli. Był bardzo wzruszony, zdjął obrazek święty ze ściany i zawiesił mi go na szyi.

— No, a dalej, cóż było dalej? — spytałam.

— Dalej wszystko szło już jakoś samo. Idę do domu i nic nie mówię, gdzie byłam. Ale w tydzień niespełna przebiega moja gospodyni, cała czerwona, bez tchu i wręcza mi kartę wizytową; ze wzruszenia ledwie mówić mogła.

„Generał przyjechał, taki wielki, posłał lokaja w liberyi z zapytaniem, czy panienka jest w domu, bo chce z nią mówić koniecznie, on siedzi w powozie i czeka".

Spojrzałam na kartę i przeczytałam: „Son Excellence le prince Gelovizky," a pod tem ołówkiem dopisane: „de la part de comte Ratov." Zgadłam natychmiast w jakiej sprawie przybywa.

— Proszę — powiedziałam.

Moja gospodyni straciła głowę.

„Ah, Ojcze święty, co ja tu zrobię, generał tak uważa na to, a u nas jeszcze nie uporządkowane, a jak na nieszczęście gotujemy dzisiaj kapuśniak, w całym domu czuć kapustę."

— Nic nie szkodzi — powiadam — generał będzie wiedział, że jemy kapustę, poproś go tylko.

Słyszę już generała wchodzącego po schodach, a schody są u nas ciemne, wąskie i tak stare, że skrzypią pod nim. Kilkoro dzieci z domu przybiegło, stanęło z palcami w ustach, patrząc na niego jak na dzikie zwierzę. Generał wszedł, nie był jeszcze stary, w średnim wieku, wyelegantowany. Długie, szpakowate wąsy miał wywiksowane i zaperfumowane. Zdaje mi się, że przez całe życie nie widział podobnego urządzenia domu, ale jako człowiek światowy nie okazał tego. Gospodyni przysunęła mu szybko drewniany fotel z wyściełaną poręczą. On usiadł na nim swobodnie, jak w salonie, położył czapkę na kolana, wysunął jedną nogę naprzód i zwróciwszy się do mnie z uprzejmym uśmiechem: „C'est bien à la princesse Vera Barantzow, que j'aie l'honneur de parler?"

— Tak — odpowiedziałam — to ona sama.

On dał znak gospodyni, żeby nas zostawiła samych, pochylił się do mnie i z miną poufałą powiada, że sam cesarz posłał go do mnie z zapytaniem, czy to jest prawdą, że chcę wyjść za politycznego przestępcę Pawlenkowa i iść z nim na Sybir.

— Tak jest — odpowiadam.

Wtedy on usiłuje, mnie przekonać, żebym czegoś podobnego nie robiła. Taka młoda, pyszna dziewczyna, taka piękność, niszczyć się tak i marnować. Czy pomyślałam, co robię, arystokratka, wychodzić za wychrzczonego żyda, politycznego więźnia, dzieci moje nie będą miały ani nazwiska, ani stopnia, one same będą mi robiły wyrzuty.

— O tem wszystkiem już myślałam — odpowiadam — i nie zmienię mego postanowienia.

Generał widzi, że trwam przy moim zamiarze, on układa swoją dobrą ojcowską twarz, przymyka nawet jedno oko, patrząc na mnie i mówi szeptem:

„Nie jestem młodym człowiekiem, sam mam dzieci, mówię do pani jak do własnej córki. Mój Boże, co to młodym dziewczętom zdarzyć się nie może, pani nie jest pierwsza i nie ostatnia. Nie warto jednego nierozważnego kroku płacić całem życiem. Cesarz jest łaskawy, a hrabia bardzo panią kocha; on jest gotów zrobić dla pani wszystko. A chociaż to był grzech, można go jakoś w inny sposób okupić, znajdziemy pani innego narzeczonego."

Udaję, że nie rozumiem nic z tego i powtarzam ustawicznie: chcę wyjść za Pawlenkowa, chcę iść z nim na Sybir.

Generał widział, że nic nie może poradzić, podniósł się, ukłonił i wyszedł, a ja do adwokata Pawlenkowa i opowiedziałam mu wszystko. Parę dni potem dostałam pismo, dozwalające mi, hrabiance Barancow, zawrzeć małżeństwo z więźniem politycznym, żydem Pawlenkowem, gdy tenże na łono kościoła chrześciańskiego przejdzie. Ślub odbędzie się w kaplicy więziennej.

dzo. Ta właśnie część właścicieli ziemskich, która była zmuszona do gospodarki intensywnej, nie koniecznie była przeciwna reformie, dla średniej, biedniejszej części szlachty, reforma była zabójczą, ale właśnie ta część, jako liczebnie najsilniejsza, mogła do niej niedopuścić i nie dopuściła. Okoliczność, że Polska miała tej szlachty więcej, niż jakiekolwiek państwo europejskie, wstrzymywała reformę, która w gruncie rzeczy była już wówczas koniecznoscią ekonomiczną, a pomimo to przez tyle jeszcze lat pozostała marzeniem patryotów tylko.

W końcu powraca Kalinka jeszcze raz do trudności, w jakie się uwikłano. Postanowiono tron dziedziczny, nie pytając o zgodę kandydata do tronu, — opozycyi zaś Prus i Rosyi przeciw krokowi temu można się było spodziewać, w dodatku naród cały (czytaj szlachta) był przeciwny dziedziczności. Sądzi przeto, że lepiejby zrobiono, zadawalając się małym sukcesem, jakim był wybór następcy za życia króla. „Z królem, chociażby elekcyjnym do czasu, Polska miałaby przed sobą 20—30 lat ubezpieczonej egzystencyi, a w tym peryodzie niejedno ziarno rzucone na sejmie byłoby dojrzało, niejedna z reform dopiero zaczętych byłaby skończona, a naostatek niejedna przeszkoda byłaby ustąpiła ze świata. „„Przetrwajmy Katarzynę, mawiał Chreptowicz, z jej śmiercią wiele rzeczy się odmieni.““ Że tak się nie stało — tym razem nie zawinili Ateńczycy; winien był Solon, który prawo doskonałe zbyt wcześnie napisał.“

Ustęp ten nie zupełnie jest jasny. Nie wiadomo bowiem, czy Kalinka sądzi, że należało przeprowadzić reformy zawarte w konstytucyi trzeciego maja, pominąwszy tylko dziedziczność tronu, czy też sądzi, że należało się wogóle wstrzymać z reformą. Tak, czy inaczej, sądzimy, że metoda historyka, każąca mu jedynej sprężyny faktów historycznych szukać w osobistościach i wszystko opierać na chwilowych konstelacyach politycznych, zaprowadziła go tu na manowce. Czy konstytucya czyniła tron dziedzicznym, czy nie, było to rzeczą małej wagi. Rosya i Prusy nie byłyby zapewne w kłopocie o pretekst jakikolwiek dla planów, do których oddawna dążyły. Pozostawienie status quo nie ratowało sprawy. Naiwne nadzieje Chreptowicza, że z śmiercią Katarzyny wszystko się odmieni, nie są argumentem. Z Katarzyną, czy bez niej, polityka rosyjska musiała skorzystać z tak dogodnej sposobności posunięcia swych granic na zachód, jakie nasuwała zupełna bezsilność Rzeczypospolitej. Targowica również byłaby powstała przeciw jakiejkolwiek reformie. Usunięcie z projektu dziedziczności byłoby pozbawiło tylko jednego argumentu do pociągnięcia za sobą tłumu szlacheckiego. Nie o argumenta jednak chodziło, skoro zwolennicy anarchii mieli za sobą argumenty takie, jak ruble i bagnety moskiewskie.

Pozostaje więc jedna tylko alternatywa: albo nie należało robić nic i oddać się z rękami założonemi na łup wrogów, albo należało przeprowadzić reformę rządu prawdziwą, reformę opartą na przekształceniu ustroju społecznego, reformę, rzucającą na plac boju miliony ludu. Dla tego słuszność pozostaje zdaniem naszem przy Heltmanie: zgubiła konstytucyę 3 maja nie dziedziczność tronu, ale połowiczność.

Inna rzecz co do wyjaśnienia, dla czego powstała ta połowiczność. Demokrata z lat trzydziestych bierze rzeczy bardzo prosto: oskarża ludzi, że nie „zdobyli się na myśl,“ że „nie wniknęli do serca narodu“. Jest to niesprawiedliwość. Nie wątpimy bowiem na chwilę, że ludzie jak Kołłątaj i jemu podobni widzieli również dobrze, co demokraci późniejsi, że pobudzenie do akcyi całego narodu może zbawić kraj. Jednakże — i tu leży cała tragiczność sytuacyi, — musieli sobie powiedzieć jednocześnie, że plan taki jest niewykonalny, bo lud ten przygnębiony wiekową niewolą nie ma sił do oswobodzenia siebie. „Rewolucyi nikt nie robi, robią się same“ — „ludu nikt oswobodzić nie może, tylko lud sam,“ Słuszności tych zdań dowiodły ze straszną dokładnością ostatnie lata Rzeczypospolitej.

Działacze sejmu czteroletniego czynili, co mogli. Cześć im za to! Nie ich jest winą, że konstytucya 3-go maja taką jest a nie inną! jest ona bowiem tylko wyrazem ówczesnego ustroju społecznego, jest karykaturą, bo karykaturalnym był ustrój społeczny Rzeczypospolitej. Nie mogła nieść zbawienia krajowi, bo sił zabrakło temu krajowi, w którym klasa panująca wyssała wszystkie soki żywotne z mas ludowych.

Dr. J. B. Marchlewski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Germanizacya w kościele.

Do „Gazety Toruńskiej“ piszą z Szwarcenowa (Prusy Zachodnie):

„Dzień dzisiejszy zapisał się nietylko w dziejach naszej parafii, ale szczególnie w sercach naszych, literami czarnemi, których nawet łzy nasze bodaj już nigdy zmyć nie potrafią.

Jak grom z jasnego nieba padły dziś słowa od naszego świętego ołtarza: „Na przyszłość będzie w każdą niedzielę ewangelia święta także po niemiecku czytana, a w każde drugie święto niemieckie kazanie i t. d.“ Serce się kraje na coś podobnego, bo jeżeli n. p. w Gdańsku tysiące Polaków błagać muszą o polskie kazania, i jeszcze im trudności stawiają, to u nas zaś co za troskliwość o kilku katolików „Niemców.“ którzy nieomal wszyscy po polsku mówią. Dla kilkuset katolików Polaków, którzy co drugie święto do kościoła podążą, to kazanie niepotrzebne, ale dla kilku katolików Niemców, którzy jako wyrobni ludzie na folwarkach pracują, i o których można bardzo wątpić, czy co drugie święto do kościoła przyjdą, to muszą być niemieckie kazania.

Gdyby nasi praojcowie, którzy tak hojnie tutejszy kościół wyposażyli, byli wie-

---

Wiera zamyśliła się, kilka chwil siedziałyśmy milczące, bez słowa.

— Wiero — zawołałam smutnie — już się stało, zapóźno rozmyślać na tem, rzuciłaś się na głowę w przepaść. Powiedz mi łaskawie, dla czego przed ślubem nie przyszłaś do mnie ani razu, nie powiedziałaś mi ani słowa z tego, co zamierzałaś uczynić, przecież się uważamy za przyjaciółki.

Wiera uściskała mnie i zaśmiała się.

— Czego ty nie wymagasz — zawołała wesoło — czy słyszałaś też kiedykolwiek, żeby ludzie inaczej w przepaść się rzucali, jak nie na głowę; cóż ty myślisz, jeżeli człowiek zamierza się powiesić, to przecież nie chodzi od jednego przyjaciela do drugiego i nie pyta się o radę, ani nie prosi o błogosławieństwo.

— Tak, to znaczy, że zgadzasz się na to, iż to się równa śmierci? — zapytałam cicho.

— Widzisz — powiedziała Wiera — przed tobą przecież nie będę udawała, mówię otwarcie: w chwili gdy przyszło pismo i dowiedziałam się, że wszelka przeszkoda jest usunięta, że przeprowadziłam to, com zamierzała, powinnam się była ucieszyć — nieprawdaż? Tymczasem mnie się serce ścisnęło i to okropne uczucie trwało przez cały tydzień, aż do wesela. Wyszukałam sobie zajęcie, aby być zawsze w ruchu i nie myśleć o tem. We dnie szło jeszcze jako tako, ale w nocy, gdy zostałam sama, zaczynała się straszna męka. Obawa gryzła mnie, lękałam się coraz bardziej. Dziś poszłam do więzienia. Wpuszczono mnie, ciężkie, żelazem okute drzwi, zapadły się za mną z trzaskiem. Na ulicy było ciepło, słońce świeciło, ale tu objęła mnie ciemność, czuć było wilgoć. Serce ścisnęło mi się, pomyślałam sobie: szczęście i wolność, młodość wszystko zostawiam za temi drzwiami, szumiało mi w uszach, zdawało mi się, że ktoś wpakował mnie do czarnego worka, musiałam komuś pokazać mój dokument, prowadzono mnie przez długie, nieznośnie długie korytarze; dwóch żandarmów prowadziło mnie: jeden z przodu, drugi z tyłu. Ze wszystkich drzwi wyglądały postacie w mundurach, przyglądając mi się z zuchwałą ciekawością od stóp do głów. Widocznie dowiedział się cały personał więzienny o mającym się odbyć ślubie i każdy chciał widzieć narzeczoną. Nie wstydzili się wcale, czynili głośne uwagi na mój rachunek, słyszałam jak jeden oficer mówił głośno do drugiego: „Ces sacrées nihilistes ne sont pas degoutées ma foi, c'est vraiment dommage d'accoupler, un beau brin: de fillete, comme ça à un brigand de forçat. Passe encore, si l'on avait le droit du seigneur.“

Towarzysz odpowiedział coś, czego nie zrozumiałam, zapewne coś nieprzyzwoitego, bo obaj wybuchnęli śmiechem. Przechodząc koło mnie pobrząkiwali ostrogami, patrzyli mi zuchwale w twarz tak blisko, że prawie dotykali się mnie swemi wąsami. Za każdym krokiem robiło mi się ciężej na sercu, wyznaję ci, że gdyby w tej chwili ktoś przyszedł i zaproponował mi, żebym się cofnęła, uciekłabym, nie oglądając się nawet. Wreszcie weszłam do pokoju pustego z nagiemi ścianami; dwa drewniane krzesełka stanowiły całe umeblowanie. Tu zostałam sama, kazano mi czekać. Czy siedziałam długo, nie wiem, czas wydawał mi się nieskończenie długi. W umyśle moim powstawało pytanie, czy robię dobrze, czy nie popełniam jakiegoś strasznego głupstwa, a myśl o spotkaniu z Pawlenkowem dręczyła mnie coraz bardziej. Bałam się, że go nie poznam. Co on powie, czy mnie zrozumie. Usiłowałam przywołać sobie jego obraz w myśli i nie mogłam, jakkolwiek bardzo chciałam.

Nakoniec usłyszałam kroki, otwarto drzwi i dwóch żandarmów wprowadziło Pawlenkowa... Jak on wyglądał, jaką miał twarz, nie mogę powiedzieć, pamiętam tylko, że miał na sobie szary, aresztancki płaszcz i że włosy jego były zgolone do skóry. Na kilka minut zostawiono nas samych, żandarmi odstąpili, udając, że nic nie widzą.

Co się stało, jak rozmawialiśmy, to przypominam sobie tylko, jak we śnie. Zdaje mi się, że Pawlenkow ujął mnie za obie ręce i szeptał: „Dzięki Wiero, dzięki.“ Jego głos urwał się. Ja też nie mogłam nic odpowiedzieć, ale czy uwierzysz, w tej chwili gdy wszedł do pokoju, znikły nagle moje wszystkie wątpliwości. W mojej duszy zrobiło się nagle jasno, wątpliwości, jakgdyby nie istniały nigdy. Wiedziałam teraz, że

dzieli, że i do niego raz germanizacya zajrzy, to z pewnością by w dokumencie fundacyjnym położyli jej tamę. Jeżeli obecne stosunki dłużej potrwają, to za kilka lat smutnych się doczekamy stosunków.

Gdy przed niejakim czasem jeden z parafian prosił księdza proboszcza, żeby przecież zaprzestał już raz tak kosztownych reparacyi, i przez to nie walił tak wielkich kosztów na parafię, bo inaczej zniewoleni będziemy udać się choć na prywatnej drodze do władzy Biskupiej i do królewskiej regencyi, gdyż parafia tak się osłabi, że się łatwo rozpaść może, odpowiedział mu ks. Proboszcz: „Nun, dann wird das einfach eine Missionsstelle.“

I cóż powiesz na to parafio, która od set lat istniejesz? Niezawodnie spotka cię ten smutny los i to w niedługich latach.

Jakie następstwa takie germanizatorskie zapędy mają, o tem najlepiej świadczy sprawa sztumska. A i tu bodaj na to się zanosi: bo ów parafianin otrzymał następnego dnia list, w którym ks. proboszcz przypomina jemu, i wszystkim, którzyby się do władzy udali ze zażaleniem a w czemkolwiekbądź proboszcza obrazili, „paragraf 186 księgi karnej“ i grozi bezwzględnie prokuratorem.“

* * *

W sprawie ks. Stojałowskiego.

Korespendent krakowski „K r a j u“ petersburskiego wypowiada w sprawie ks. Stojałowskiego następujące uwagi:

„Najwybitniejszą nowiną dnia jest dekret inkwizycyi rzymskiej, skazujący ks. Stojałowskiego na eks-komunikę i wyłączający go ze społeczeństwa wiernych. Tak w prasie, jak i w kołach towarzyskich wielka kara duchowna i jej przypuszczalne następstwa są, naturalnie, przedmiotem ożywionych i często sprzecznych sądów, a raczej myśli. Dla znających jednak dobrze właściwości psychiczne wyklętego jest mniej więcej jasne, że w tym wypadku, chociaż R o m a l o c u t a, — c a u s a jednak nie jest jeszcze f i n i t a. Odkrywa się więc szerokie pole do domysłów i odgadywania planów delikwenta i jego przyszłego postępowania. W każdym razie stoi przed nim otworem droga do pokuty i powrotu, formalnego przynajmniej, na normalne tory. P o l i t y k a ś w i a t o w a i p r a w o k a n o n i c z n e s p r z y m i e r z y ł y s i ę t a k ś c i ś l e w s p r a w i e k s. S t o j a ł o w s k i e g o, ż e t r u d n o o r z e c, k t ó r y z t y c h d w ó c h s o j u s z n i k ó w b y ł p o w o d e m b e z p o ś r e d n i m g r o m u, s p a d a j ą c e g o n a n i e g o w o b e c n e j c h w i l i, w c h w i l i g o r ą c z k o w e j d z i a ł a l n o ś c i a g i t a t o r s k i e j. Swoją drogą uczucia ludzkie zawsze są jednakie — nieszczęście budzi litość, współczucie błąka się teraz wśród tych, którzy niedawno samo tylko potępienie mieli na ustach.“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Z wygnania.

Warszawa, 1 września.

III.

(Teatr).

Znana Ci jest, kochany redaktorze, abominacya, jaką mnie napełnia teatr i wszystko, co z tą instytucyą pozostaje w bliższym czy dalszym związku. Wstrętnym mi jest ten świat fałszu i kłamstwa, te kobiety, będące lepszemi komedyantkami w życiu niż na scenie, ci mężczyźni, których nierzadką nicość moralną pokrywa pożyczany płaszcz bohatera. Najchętniej więc nie dotykałbym się wcale tego przedmiotu. Ale jestem przedewszystkiem dziennikarzem i staram się, o ile to w mej mocy, spełniać sumiennie mój obowiązek. A wykroczyłbym przeciwko najelementarniejszej zasadzie etyki dziennikarskiej, gdybym zdając sprawę z warszawskiego życia i jego objawów pominął milczeniem teatr.

Wprawdzie grzeszy sporą dozą przesady twierdzenie, jakoby w Warszawie niczem się nie zajmowano tylko teatrem, o niczem nie mówiono tylko o aktorach a zwłaszcza o aktorkach. I w Warszawie znaleźć można, szukając dobrze, ludzi poważnych, którzy rzadko kiedy składają modły w tak zw. świątyni sztuki dramatycznej, których mało bardzo interesują przygody miłosne szlachetnej matki, lub lata naiwnej, wyposażonej od przyrody cudowną własnością odmładzania się z rokiem każdym więcej. Są nawet — aczkolwiek ich nie wiele — kobiety warszawskie, które nie przysięgają ani na Prażmowskiego, ani na Ładnowskiego lub Frenkla.

Biorąc jednak na ogół, rzadko w rzeczy samej spotkać miasto, w któremby choroba zwana teatromanią tak groźne jak w Warszawie szerzyła spustoszenie. Składa się na to dość wiele przyczyn. Najpierw mieszkańcy, w których krwi jeszcze od czasów smutnej pamięci ostatnich królów polskich spoczywa zamiłowanie do wszelkiego rodzaju widowisk. Zamiłowanie to podsyca nadomiar prasa, która nie mogąc z niezależnych od siebie przyczyn zajmować się poważniejszemi kwestyami, poświęca nadzwyczaj wiele miejsca sprawom teatralnym, podaje sążniste artykuły z każdego przedstawienia, wynosi sztuki lub występy choćby średniej tylko miary artysty, a oprócz tego informuje bezustannie publiczność o choćby najmniej znacznych wypadkach w świecie teatralnym. Wreszcie kult ten teatralny, panujący w tutejszem społeczeństwie, podtrzymują do dnia dzisiejszego wspomnienia świetnych, choć minionych już od dość dawna czasów sceny warszawskiej, gdy na niej występowali jednocześnie Królikowski i Żółkowski, Bakałowiczowa, Modrzejewska i Popielka.

Wszystko to sprawia, że nie ma może na kuli ziemskiej tak wdzięcznej, tak przywiązanej do swego teatru publiczności, jak warszawska. Gdy wy domagacie się bezustannej zmiany, gdy wam sprzykrzy się nadzwyczaj szybko nawet dość utalentowany aktor i dość ładna aktorka, warszawski bywalec teatralny przywiązuje się coraz bar-

---

postąpiłam dobrze, że inaczej postąpić nie mogłam.

Wprowadzono nas do kościoła, staliśmy obok siebie, kapłan ujął nas za ręce i oprowadził dokoła pulpitu. Wszystko to przypominam sobie, jak przez mgłę. Przez chwilę, gdy silny dym kadzidła nas owionął i zabrzmiała pieśń „Izajaszu ciesz się,“ zapomniałam o wszystkiem, zdawało mi się, że nie Pawlenkow, lecz Wasylcew stoi obok mnie: słyszałam jego drogi głos tak wyraźnie. Wiem, wiem napewne, że on zgodziłby się na to, że on ucieszyłby się, widząc co robię. I naraz stało mi się wszystko jasnem. Całe moje przyszłe życie leżało przedemną, jak otwarta karta: pójdę na Sybir, tam będę z zesłanymi razem, będę ich pocieszała, im służyła, listy ich do ojczyzny przesyłała...

Wiera umilkła.

— Jeżeli pomyślę, że całą zimę zmarnowałam, szukając pracy — zaczęła znowu wesoło głosem pewnym — a praca leży tu, tuż pod ręką i jaka praca! Lepszej nie mogłam wymyśleć, powiadam ci otwarcie, do innej pracy: do propagandy rewolucyjnej, do konspiracyi, byłabym, zdaje się, niezdolną. Do tego trzeba wielkiego rozsądku, wymowy, sztuki działania na tłumy opanowywania ich, a do tego ja nie jestem zdolna, a zresztą lękałabym się zawsze, że narażam innych na niebezpieczeństwa. Tak idę na Sybir, to jest właśnie dla mnie. I jak to wszystko prosto, niespodzianie, jak to wszystko zrobiło się samo. Boże, jakże szczęśliwa jestem!

Rzuciła mi się na szyję, uściskałyśmy się, płacząc.

*

W sześć tygodni po tem przybyłam na dworzec kolei Mikołajowskiej, aby się pożegnać z Wierą.

Zaraz po ślubie został Pawlenkow wysłany z innymi skazańcami na Sybir. Teraz nadszedł czas na Wierę. Nie jechała sama, z nią jechały dwie panie, córka jednej z nich i mąż drugiej byli między zesłanymi, jechały trzecią klasą, ale to była jeszcze podróż zbytkowna w porównaniu z tem, co je oczekiwało później. Wtedy szła kolej tylko do granicy europejskiej, resztę podróży miały odbywać w sankach lub telegach. W najlepszym razie, to znaczy, jeżeli żadna przeszkoda się nie znajdzie, podróż potrwa do trzech miesięcy.

A co ją czeka po przybyciu?

Ale wszystkie trzy nie myślały o tem, na twarzach ich malowała się jakaś uroczysta radość. Niezwykłe podniecenie w jakiem się Wiera znajdowała zaraz po tym śmiałym kroku, ustąpiło, stała się znowu cichą, zamkniętą w sobie. Zeszczuplała tylko trochę i wydawała się starszą; ale błękitne jej oczy patrzyły śmiało i wzruszającym był widok z jak czułą pieczołowitością zajmowała się obiema towarzyszkami. Wszystkie trzy zdawały się być połączone jednem wielkiem uczuciem, jakie tylko wspólne nieszczęście wywołać może.

Na dworcu zebrał się wielki tłum, wielu przyszło z ciekawości, inni ze współczucia, a kto miał krewnych lub znajomych w Sybirze, chciał im przez nie przesłać pozdrowienie.

Zaledwie mogłam kilka słów zamienić z Wierą, gdyż wszystko kupiło się dokoła niej. Ale gdy zabrzmiał ostatni dzwonek i pociąg już miał wyruszyć, podała mi rękę już z wagonu.

W tej chwili wyobraziłam sobie żywo los, jaki czekał tę młodą, piękną dziewczynę i rozpłakałam się.

— Płaczesz za mną? — zapytała Wiera z błogim uśmiechem — ach gdybyś wiedziała, jak ja się lituję nad wami, którzy tu zostajecie!

To były jej ostatnie słowa.

K O N I E C.

dziej do artysty, spełniającego jako tako sumiennie swe zadanie, interesuje się nadzwyczaj żywo nietylko jego produkcyą na scenie, ale i zakulisowemi jego sprawami i losami. Ma to niewątpliwie pewne niedogodności, zwłaszcza, gdy chodzi o piękniejszą połowę świata aktorskiego, dowodzi jednak większego niż gdziekolwiekindziej zainteresowania się teatrem. I potrzeba tak niedołężnego a jednocześnie i niesumiennego kierownictwa, jak je wykonywał świeżo oddalony reżyser p. Szymański, aby odstraszyć na czas jakiś tutejszą publiczność od sceny.

Warszawski personał dramatyczny nie posiada obecnie ani jednej pierwszorzędnej siły, ani jednego prawdziwie genialnego artysty, lub genialnej artystki, wykazuje jednak ensemble bardzo przyzwoity, a w nim cały szereg aktorów, wznoszących się dość wysoko po nad poziom przeciętnego uzdolnienia artystycznego. Repertuar bohaterów reprezentuje godnie p. Leszczyński, kochanków bohaterskich p. Ładnowski, lirycznych p. Nowicki, salonowych p. Prażmowski, ojców charakterystycznych p. Rapacki. Niezwykle uzdolnionym komikiem, obdarzonym szczerym, chwytającym za serce humorem jest p. Frenkiel. Wybitne siły posiada także personel kobiecy. Prym tutaj trzyma p. Rakiewiczowa, jedyna jeszcze dzisiaj reprezentantka dawnych świetnych tradycyi naszej sceny. Role bohaterek salonowych dzierży w dalszym ciągu samowładnie p. Marcello, której wielkiego talentu odmówić trudno, która jednak grzeszy zbyt często brakiem artystycznej miary i równowagi. Przewyższa ją o całe niebo pod tym względem p. Lüdowa, wyborna kokietka salonowa, wykazująca jednak od czasu do czasu fałszywy apetyt do ról bohaterek. Współzawodniczy z nią na tem polu p. Trapszo-Chodowiecka, wysoce utalentowana naiwna-liryczna, próbująca niefortunnie sił swoich w rolach wojewodziny (w Mazepie) lub Ofelii. P. Czaki, wiecznie młoda nasza naiwna z niestarzejącym się wdziękiem, odtwarza od ćwierć wieku swojskie podlotki z pod szlacheckiej strzechy.

Obok tych wybitnych i znanych powszechnie artystów i artystek wchodzi w skład naszego personału dramatycznego liczny bardzo zastęp sił młodych. O uzdolnieniu młodszej generacyi z tej prostej przyczyny trudno powiedzieć cośkolwiek, że starzy tworząc zwartą klikę, nie pozwalają wybić się młodszym. W zwykłych tych warunkach artysta lub artystka, przyjęta na scenę warszawską, lata całe czekać musi, zanim los szczęśliwy pozwoli jej ukazać swą zdolność lub nieudolność w cokolwiek wybitniejszej roli. Dublowanie ról jest u nas prawie nieznane. Są to zresztą stosunki, które scena warszawska dzieli z innemi pierwszorzędnemi teatrami. Te same skargi na systematyczne gnębienie „młodych“ przez „starych“ rozbrzmiewają w „Burgu“ wiedeńskim, berlińskim „Schauspielhaus'ie“ i „Komedyi“ francuskiej.

Obok dramatu uszczęśliwia warszawską publiczność teatralną farsa i operetka. Nad dwoma temi rodzajami „sztuki“ dzierży samodzielne berło znany ze swej zręczności i umiejętności obniżania poziomu artystycznego p. Ludwik Śliwiński, któremu zresztą trudno odmówić uznania, że skompletował dobrze zgraną trupę i wystawia utwory, wchodzące w zakres jego repertoaru, nadzwyczaj starannie, sumiennie, a w danym razie nawet efektownie. Jego też „przybytek sztuki“ noszący zimą nazwę „Małego“ a latem „Nowego“, cieszy się stale niezwykłem powodzeniem kasowem i żywi w znacznej części cierpiące na chroniczny niedobór balet i operę, przeznaczone przeważnie dla rosyjskich urzędników cywilnych i wojskowych.

Mówiąc o teatrze nie sposób pominąć milczeniem krytyki teatralnej. Krytyka ta spotyka się tutaj z licznemi, w znacznej części nieuzasadnionemi zarzutami. Zarzucają jej przedewszystkiem stronniczość i nieuctwo. Zapewne, że w naszych krytykach teatralnych odzywa się dość często strona osobista. Lecz gdzież znajdziemy absolutną bezstronność? Chcąc czy nie chcąc, przeciętny człowiek rządzi się osobistemi swemi sympatyami i antypatyami. Trudno zaś wymagać od krytyka teatralnego, aby był człowiekiem wyjątkowym. Pomijając jednak nieliczne wyjątki, krytyka warszawska jest uczciwszą niż w innych środowiskach cywilizacyi, nie kierując się w swych sądach o autorach i aktorach osobistym interesem. Mniej jeszcze uzasadniony jest zarzut nieuctwa. Pod względem znajomości ojczystej i zagranicznej literatury dramatycznej oraz wymagań sceny, Bogusławski, Koenig i Zalewski co najmniej równać się mogą z pierwszorzędnymi niemieckimi i francuskimi krytykami teatralnymi.

Niestety znaczenie warszawskiej krytyki teatralnej osłabia w wysokim stopniu panosząca się coraz bardziej tak zw. reporta teatralna. Nie brak wypadków, że w jednem i tem samem piśmie, sztukę zganioną przez krytyka, wynosi następnie pod niebiosa reporter. Publiczność zaś liczy się więcej z powtarzającemi się codziennie, dopóki odnośna sztuka nie zejdzie z afisza, wzmiankami reporterskiemi, niż z pojawiającą się raz tylko jeden krytyką.

X.

Adolf Pawiński.

(Wspomnienie pośmiertne).

Złożony ciężką niemocą i bawiący od dłuższego czasu w zakładzie leczniczym w Grodzisku, pod Warszawą, znakomity badacz dziejów naszych, profesor uniwersytetu warszawskiego, członek krakowskiej Akademii umiejętności, Adolf Pawiński, uległ 24-go sierpnia swym cierpieniom.

Ur. w r. 1840 w Zgierzu, nauki gimnazyalne pobierał w Piotrkowie, uniwersyteckie zaś studya prowadził w Jurjewie (Dorpacie) i ukończył je ze stopniem kandydata filozofii. Ztąd udał się do Getyngi, gdzie zdobył doktorat filozofii, po powrocie zaś do kraju otrzymał w uniwersytecie petersburskim stopień doktora nauk historycznych i objął docenturę w b. Szkole Głównej warszawskiej, a następnie katedrę profesorską historyi w uniwersytecie. Oprócz tego, w r. 1875 został mianowany naczelnikiem archiwum akt dawnych Królestwa Polskiego.

Zamiłowany w badaniu dziejów w ogó-

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(*Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.*)

(Ciąg dalszy).

Zjazd ów wywołał dosyć charakterystyczne zajęcie. O jego wyznaczeniu dowiedziały się władze rosyjskie w Lublinie i doniosły bezzwłocznie o tem żandarmom w Białej, z rozkazem, by go nie dopuścili. Niewiedziały tylko o jego miejscu i dacie, w której się miał odbyć. Żandarm Bialski otrzymał zawiadomienie dnia 23 grudnia, t. j. drugiego dnia już po odbytym zjeździe; więc domyśliwszy się i skombinowawszy, że zjazd może być tylko u biskupa, a więc w Janowie Podlaskim zebrał swoich podkomendnych i sotnię kozaków i 24 Grudnia pojechał do Janowa, otoczył gmach kościelny — a że był wieczór — zastał salę rzęsiście oświetloną i siedzących przy stole biskupa wszystkich księży i całe seminaryum. Była to właśnie wilia. Miało nastąpić już aresztowanie zebranych i dopiero po wytłómaczeniu żandarmowi powodu zebrania, za miaru w czyn nie wprowadzono.

III.

Ludzie byli, szło o to, by była i broń. Nakazano przygotować kosy, z uwagi na tradycyę kosynierów Głowackiego, tylko że obecnie owe kosy miały do czynienia ze sztucerami, na dwa tysiące kroków bijącemi; broni palnej w Podlaskiem nie było! Dla zaradzenia temu, komisarz województwa płockiego, Edward Rulikowski, zebrawszy trochę pieniędzy pojechał do Liège, do Belgii i tam, w pewnej fabryce zamówił 15 tysięcy karabinów. Dawszy zadatek, zobowiązał się resztę należności zapłacić na 1 Stycznia 1863 r. w Paryżu; fabryka zaś, zobowiązała się dostawić ową broń do granicy Królestwa. By nie stracić zadatku i broni, komitet Centralny, choć z wysiłkiem, resztę należności posłał przez Fran. Godlewskiego, który pojechawszy do Paryża, zatrzymał się w hotelu Corneille, gdzie podówczas wielu Polaków mieszkało, między innymi Al. Ćwierczakiewicz i Włodz. Milowicz, a że policya francuska nas szpiegowała i Rosyi dopomagała, nastąpiło otoczenie hotelu i aresztowanie Polaków, przyczem zabrano im i pieniądze i papiery. Tym to sposobem dowiedziano się o warszawskim adresie drukarni „Ruchu“, przy ulicy Widok.

Aresztowania te i zabór pieniędzy nie mały wyłom w pracach przygotowawczych do powstania uczyniły. Zwołano nas wszystkich komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Przyjechał z Kijowa przedstawiciel młodzieży i stronnictwa ruchu Jurjewicz, (dla którego później zrobiono ów głośny podkop w fortecy kijowskiej, 27 sążni długi, przechodzący przez dwie niezwykłej grubości ściany, którym się wydostał na wolność i umarł w lat kilka później w Szwajcaryi).

Na owem to zebraniu walnem komisarzy i członków ówczesnego komitetu Centralnego, do którego należeli: Zygmunt Padlewski, naczelnik miasta Warszawy, — Oskar Awejde, minister spraw wewnętrznych, — Stefan Bobrowski (poległ następnie w pojedynku z Grabowskim z Galicyi), — Agaton Giller i inni, postanowiono: przygotować się do powstania, które nie wcześniej jak z wiosną wybuchnie, z uwagi że Litwa i Ruś wcześniej gotowemi nie będą. Uchwała ta zapadła dnia 11 stycznia 1863 r. Z uwagi na szerzące się o brance do wojska pogłoski, postanowiono popisowych ukryć przez przeniesienie ich z jednego powiatu do drugiego. W tym celu, ja, jako komisarz podlaski, otrzymałem 3000 blankietów na paszporty i z takiem poleceniem wyjechałem z Warszawy. Zaczęto tymczasem młodzież usuwać z Warszawy, głównie w Płockie. Popisowi zebrali się w kampinoskiej puszczy, lecz większość nie zdążyła wyjść z miasta i uległa brance. Wtedy to Zygmunt Padlewski, widząc, że szyki organizacyi powstańczej popsuto i odebrawszy jednocześnie wiadomość, że w fortecy Modlinie spiskowcy oczekują hasła przyłączenia się do ruchu, przeprowadził w komitecie, w którym swą

le, a dziejów naszych w szczególności, na tem ostatniem polu położył nieocenione zasługi.

Pierwszem dziełem Pawińskiego, po za rozprawami pisanemi dla zdobycia stopni naukowych było „Kilka słów o Buckle'u," wydanych w r. 1869, a następnie idzie cały szereg krótszych lub dłuższych rozpraw i studyów historycznych i archeologicznych, z których wymienimy: „Notatki kupca Krakowskiego" (1892), „W sprawie narodowości Kopernika" (1876), „O cmentarzysku w Doboszycach" (1875), „O zjeździe archeologów w Kijowie," „O kongresie międzynarodowym antropologów w Peszcie" (1876).

Dziełem jednak, które zapewnia Pawińskiemu w dziełach wiedzy naszej niezatarte wspomnienie jest pszedsięwzięcie wydawnictwa „Źródeł dziejowych," w których z nadzwyczajnym nakładem pracy zebrał nieocenione skarby do historyi rozwoju cywilizacyi w Polsce. W szeregu tych „Źródeł," lub też oddzielnie ogłosił: „Pamiętniki Marcina Matuszewicza," „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVI w.", „Stefan Batory pod Gdańskiem," „Początki panowania Stefana Batorego," „Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym," „Skarbowość w Polsce," „Jan Ostroróg," „Sprawy Prus Książęcych," i in., wreszcie pomnikowe dzieło: „Rządy sejmikowe w Polsce," nagrodzone w r. 1888 przez Akademię umiejętności, stanowiące dla badaczów historyi prawa państwowego w dawnej Rzeczypospolitej niewyczerpany skarbiec nowych prawd i poglądów.

Oprócz dzieł oryginalnych, wydał jeszcze przekłady: Macaulay'a „Dziejów Anglii" i Zeissberga „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich."

Wyborną charakterystykę Pawińskiego, jako profesora i uczonego, podał w „Tygodniku illustrowanym" (r. 1890, nr. 6) Aleksander Rembowski; z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Jako jeden z wielkich przymiotów Pawińskiego należy wymienić i tę głęboką świadomość, że do poznania dziejów dochodzi się wielką pracą a nie intuicyą. Badania a nie odgadywanie przyświecało jego studyom — i dlatego nie porywał się przedwcześnie na zbyt wielkie zadania i nie był nigdy zmuszony zastępować treści historycznej spekulacyami politycznemi, spowitemi w nastrój proroczy. Pawiński rozumiał wybornie, że zadaniem historyka jest krytyczne odtworzenie tego, co było w zamierzchłych wiekach, a nie bynajmniej gubienie się w zaciekaniach, coby mogło być, gdyby doniosłe fakty i wpływy były nieco odmiennemi."

B.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Ażeby ocenić, jaki wpływ ma H.-H. na daną okolicę, potrzeba zabawić tam choć kilka dni. Pewien anglik zwiedzający Chicago, przyrównał ruch ludności w H.-H. do przepływu wody. Istotnie ciągle 5—6 osób jest stale zajętych przyjmowaniem interesentów. Założycielka H.-H. Miss Adams jest obecnie bodaj najpopularniejszą osobą w stanie Illinois. Spełnia ona często funkcye rządowe w wypadkach, kiedy okazuje się szczególna potrzeba człowieka, któremu publiczność mogłaby zupełnie zaufać. Tak np. w bieżącym roku zmuszoną była wziąć udział w śledztwie w sprawach nadużyć w rządowych szpitalach dla waryatów.

W tymże roku jedna z rezydentek H.-H. była wezwana do spełnienia podobnych funkcyi w domu karnym dla dziewcząt. Z H.-H. powstało i było przeprowadzonem prawo o ośmiogodzinnej pracy kobiet w fabrykach. Instytucya ta wywiera wpływ na wszystkie zachodnie stany Ameryki.

Wpływ osad na wszystkie klasy społeczeństwa opiera się z jednej strony na tym fakcie, że osady zgromadzają wokoło siebie najmoralniejsze elementy amerykańskiego społeczeństwa, z drugiej znów, że osadnicy faktycznie studyują życie ludowe bezpośrednio, nie za pomocą książek, lecz przez osobiste stosunki i wniknięcie w interesa klas pracujących.

III.

System Chantauqua.

Pod tem imieniem znany jest w Ameryce system kształcenia ludu za pomocą połączonego działania książek i korespondencyi. Każdy, kto miał do czynienia z ludem, zauważył to z pewnością, że człowiek niewykształcony nie pojmuje książek, które czyta. Myśl jego jest tak przyzwyczajona do obejmowania zjawisk jedynie konkretnych, iż śmiało powiedzieć można, że nader rzadko tylko spotykamy człowieka, posiadającego mniej niż t. zw. „średnie wykształcenie", któryby był w stanie rozpoznać stanowisko przeczytanego autora i zdać sobie sprawę, w imieniu jakiej idei autor ten występował. O skrytykowaniu zaś i ocenieniu tegoż stanowiska nie może nawet być mowy. Ztąd też czytanie bez pomocy inteligentnej nie przynosi tak wielkich korzyści, jakie by się osięgnąć dały, gdyby było należycie prowadzonem. Wśród ludu trudności komplikują się jeszcze tem, że autorowie, mając inne przygotowanie umysłowe, niż ich czytelnicy, nie mogą najczęściej trafić na tę drogę myślenia, która jest tym ostatnim właściwą; ztąd też wynika masa nieprzewidzianych nieporozumień i przeoczeń, wskutek których rezultat czytania jest nieraz zupełnie odmienny od tego, jakiegośmy się spodziewali.

System Chantauqua ma za zadanie przez odpowiednią organizacyę usunąć powyższe trudności. Aby jednak uniknąć wszelkich nieporozumień, musimy zauważyć z góry, że publiczność korzystająca z tego systemu nauki w Ameryce, nie pochodzi z najniższych warstw społecznych: Są to głównie subjekci handlowi, szwaczki, nauczycielki ludowe, dro-

---

przewagą i intelligencyą górował, uchwałę wyznaczającą dzień powstania na 22 stycznia 1863 r.

O Zygmuncie Padlewskim, jak dotąd, niewiele wzmiankowano, a jednak był to człowiek, który nakazał, by Polska powstała dnia 22 stycznia i — woli jego stało się zadość. Nie jest mojem zadaniem wdawać się w rozbiór krytyczny tej uchwały i przeciwstawić jej nieszczęsne następstwa, jakie wywołała. Pragnę jedynie dać w tem miejscu wyraz bezgranicznej czci dla pamięci człowieka szlachetnego, który miłość swą dla kraju i gotowość do wszelkich dla niego poświęceń męczeńską przypłacił śmiercią, — pragnę złożyć jedynie hołd jego szlachetnej duszy, jego wierze w przyszłość kraju i w te ideały, którym za krótkiego swego hołdował żywota. Pożądał on tylko wyzwolenia swego kraju, zrzucenia zeń pęt niewoli, w których od wieku szarpie się i szamocze. Gdzieindziej takim apostołom wolności i miłości kraju, okupionej życiem, stawiają pomniki spiżowe, pamięć ich jak święta legenda przechodzi z pokolenia na pokolenie — u nas, wiele już znaczy, jeźli błotem na mogiłę takich męczenników swobody nie miotają! Zygmuncie! druhu mój serdeczny, z którym niejedną spędziłem chwilę, marząc o wolnej i niezawisłej Polsce! Niechaj te słowa będą napisane na twoim zapomnianym, nie wiadomo nawet gdzie wykopanym grobie, niechaj zaświadczą dzieciom naszym, żeś legł pod kulami siepaczy, ze słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła!" na ustach...

Zygmunt Padlewski, rodem z Ukrainy, powiatu Berdyczowskiego, ze wsi Czerniawka, był synem Władysława, szlachcica starego autoramentu, który, gdy wybuchło powstanie, siadł na koń, jako dowódzca utworzonego przez się oddziału, i wzięty w niewolę rozstrzelanym został niezadługo po zgonie syna. Pozostawił żonę, dwie córki i syna młodszego, Romana.

Jedna z córek wyszła za mąż za Michała Podhorskiego. Gdy Aleksander II był w Kijowie, rzuciła mu się do nóg, błagając, by synów jej pozwolił przyjąć do korpusu paziów.....

IV.

Rozkaz porwania za oręż odebrałem w Białej dnia 17-go stycznia 1863 r. Pomimo papieru, jaki się dostał do rąk moich, i umówionych na nim znaków, którym uwierzyć musiałem, nie ufałem oczom własnym, iżby taki rozkaz danym był na seryo...

Poleciałem bezzwłocznie do Warszawy, gdzie zastałem jeszcze Padlewskiego.

— Co czynisz? — zapytałem. Czyż nie rozumiesz, że nas rozbiją w puch, że nie mamy ani sił, ani oręża! Czyż nie wykładałeś nam w Cuneo, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — rzekł mi na to Padlewski. Spiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. — Nie podobna, by Europa pozwoliła nam zginąć! Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgli, iż nie cofniemy się.

Uścisnęliśmy się. Zygmunt siadł na bryczkę, a z nim adjutant jego, oficer artyleryi rosyjskiej Sejfried.

Pobiegłem jeszcze do Awejdy.

— Czemuś się zgodził? — spytałem.

— Zygmunt przegłosował nas, wiem, że to zawcześnie, ale kość rzucona; jeśli upadniemy — spotkamy się na rusztowaniu, lecz iść trzeba, niema czasu na rozprawy.... (Ten to Awejda uląkł się stryczka i zdradziwszy sprawę, opisał historyę organizacyi, za co darowano mu życie. Zesłany do Wiatki, jest tam obecnie jeszcze, jako obrońca przy sądach).

Pożegnawszy się z Awejdą, pobiegłem na pocztę, by zamówić konie. Tu spotkałem Leona Frankowskiego, — największego z pośród nas entuzyastę. Rzucił mi się na szyję z okrzykiem:

— Więc jedziemy bić się za kraj!

— Ba — odrzekłem — bić nie sztuka, ale czem?

— Czapkami ich zarzucimy! — zawołał. Całe Lubelskie jak jeden mąż powstanie. Jadę tam! Bywaj zdrów!

I rozbiegliśmy się, ja, by jeszcze pożegnać się z rodzicami i siostrą, tak jak się żegna jedynak z najdroższym na świecie skarbem.

Pobłogosławili mnie, jam ich za nogi

bni handlarze, konduktorzy kolejowi, rzemieślnicy ect. Jednem słowem ludzie mający już pewne naukowe przygotowanie, aczkolwiek bardzo niekompletne i niesystematyczne. Klasa takich ludzi, nie mogących w sposób prawidlowy zdobyć szerszego wykształcenia, a jednak pragnących go szczerze, jest i w naszym kraju bardzo liczną, i z pewnością metoda Chantauqua dałaby się do nich z łatwością zastosować. Sądzimy też, że przy odpowiedniej reorganizacyi systemu możnaby go rozszerzyć i na niższe jeszcze warstwy społeczne, na lud wiejski i roboczy.

System Chantauqua składa się z trzech oddziałów: 1) organizacyi dla rozpowszechnienia i ułatwienia systematycznego czytania domowego: 2) wykładów za pomocą korespondencyi; 3) szkoły letniej, tj. wykładów z różnych przedmiotów w czasie wakacyjnym. Nazwę swoją ma powyższy system naukowy od miejscowości Chantauqua, położonej nad jeziorem tegoż nazwiska, gdzie się instytucya ta rozwinęła około r. 1874 ze stowarzyszenia religijnego, zajmującego się urządzaniem szkół niedzielnych. Dziś liczba osób korzystających z niej jest ogromną. W samem miasteczku, w czasie lata, zbiera się na wykłady letnie do 3500 osób. Uczni-korespondentów ma instytucya ta po całym świecie, nawet w Indyach, Australii i Rosyi. Co do amerykańskiej publiczności, to kierownicy Chantauqua obliczają, że w przeciągu 19 lat swego istnienia, instytucya ta miała po 1 reprezentancie na 311 amerykanów (obliczając ogólną liczbę tychże na 70,000,000). W samym departamencie korespondencyjnym w przeciągu 10 lat było zarejestrowanych 2444 studentów. W departamencie systematycznego domowego czytania liczba studentów w przeciągu lat 17 wynosiła 225,000. Jak widzimy działalność to wcale pokaźna, a byłaby z pewnością jeszcze znaczniejszą, gdyby instytucya powyższa była prowadzoną przez bardziej postępowych ludzi i w nie tak konserwatywnym duchu, jak to ma miejsce dotychczas. Tak np. obecnie w naukach należących do systemu Chantauqua przyznaje się jedno z ważniejszych miejsc teologii. Również prowadzi się naukę greckiego, łaciny i innych rzeczy, nie mających bezpośredniego związku z życiem, a ztąd nie mogących pociągnąć za sobą ludzi praktyki.

Przyjrzyjmy się najpierw organizacyi, mającej na celu rozpowszechnienie systematycznego czytania domowego. Nosi ona miano koła l i t e r a c k o n a u k o w e g o („The Chantauqua literary and scientific circle"). Kurs ogólnego czytania obejmuje cztery lata, po ukończeniu których odbiera się świadectwo od zarządu Chantauqua. Swiadectwo to jednak nie uważa się za stopień naukowy. Naturalnie nie wszyscy, którzy się na ten wydział zapisali, mają energię, aby prowadzić systematyczną lekturę przez lat cztery. Mniej więcej połowa czytelników przerywa pracę już po dwóch latach. Mimo to można nawet taki rezultat uważać za dość korzystny. Wszyscy czytelnicy z jakiej bądź miejscowości starają się wspomagać się wzajemnie w pracy i w tym celu zawiązują lokalne kluby dla konferencyi i wspólnego czytania. Takich klubów liczy Chantauqua obecnie 800.

Plan czytania ułożony jest w ten sposób, aby w przeciągu czterech lat potrzeba było na pracę poświęcić przeciętnie jednę godzinę dziennie przez 9 lub 10 miesięcy w ciągu roku. Czytanie obejmuje przedmioty historyczne, literackie, religijne i nieco nauk przyrodniczych W pierwszym roku nazwanym rokiem „Angielskim", czytają się dzieła, głównie stojące w związku z historyą i literaturą. W następnym roku „Amerykańskim" odbiera się ogólne wykształcenie, tyczące się Ameryki. Dalej następują lata: „Grecki" i „Rzymski". Plan lektury jest tak dziwaczny z europejskiego punktu widzenia, iż przytoczyć go można chyba jako curiosum. Tak np. rok angielski obejmuje: angielską historyę. ang. literaturę, sztukę w czasie renesansu i obecną współczesną historyę i geologię (!). Rok rzymski obejmuje: rzymską i średniowieczną historyę, łacińską literaturę, rzymską i średniowieczną sztukę, średniowieczną literaturę i polityczną ekonomię (!). Mimo to w tym planie, aczkolwiek zabawnym. widać tendencyę rozpowszechniania humanitarnego wykształcenia, którą jest przesiąknięta cała lepsza część amerykańskiego społeczeństwa. Podczas, kiedy inteligentne klasy europejskie wycofują się z humanitarnego ruchu, amerykanie biorą się doń z gorącym. chociaż nieraz i naiwnym zapałem. Książki. które mają być czytane, są dobrane starannie z pośród dzieł popularnych wybitniejszych autorów. Egzaminów nie ma żadnych, ale wszystkim zarejestrowanym członkom przesyła się każdego roku kwestyonaryusze, na które student może odpowiedzieć, jeżeli sobie tego życzy. Jeżeli student był w stanie dać zadowalniającą odpowiedź na 100 pytań, to otrzymuje szczególne odznaczenie na swem świadectwie. Nieraz wydarza się, że studenci nie zadowalają się nauką pobieraną w ten sposób i garną się do wyższych zakładów naukowych, gdzie mogą zdobyć systematyczną wiedzę. Ci jednak, którzy nie są w stanie tego uczynić, korzystają z innych środków naukowych, jakich dostarcza Chantauqua t. j. z pobierania nauki za pomocą korespondencyi i szkoły letniej.

Kursa naukowe przez korespondencyę obejmują następujące działy: 1) teologię ze wszystkiemi składającemi ją przedmiotami, jako to jęz. hebrajskim, greckim, biblijną i doktrynalną teologią, hist. kościoła, homiletyką etc. 2) Kolegium sztuk wyzwolonych (College of Liberal Corts), obejmujące języki współczesne i starożytne, matematykę, psychologię, ekonomię polityczną, historyę, nauki fizyczne, geologię i biologię — razem 16 kursów. Również w szkole teologii jak i w kollegium sztuk wyzwolonych po przesłuchaniu obowiązkowej ilości kursów w szkole letniej odbywają się egzamina i wydają stopnie naukowe bakałarza nauk lub teologii. Między składającymi egzamina znajdują się rok rocznie starcy i staruszki 70 i 80-cio letni!!

Co do metody nauki za pomocą korespondencyi, to zasadza się ona przedewszystkiem na nadaniu k i e r u n k u w nauce pracującemu. Przytem student, pozostając przez korespondencyę w stosunku z nauczycielem, ma od tegoż specyalną pomoc wszędzie, gdzie spotyka jakiekolwiek trudności. Obok tego nauczyciel obowiązany jest zwracać uwagę ucznia na zasadnicze punkta pracy i krytykować dokonaną już przez ucznia ro-

---

uścisnął, siadłem na brykę i pojechałem w Podlaskie...

Nocą stanąłem w Siedlcach. Zastałem tam Lewandowskiego, oficera z kampanii węgierskiej, emigranta. Był on wyznaczony w stopniu podpułkownika, na dowódzcę województwa podlaskiego. Prócz niego spotkałem się tam z kolegą moim z Cuneo, Wł. Jabłonowskim, studentem Uniwersytetu Kijowskiego. Osadziłem go w Sokołowie, by tam młodzież organizował wojskowo. Czasu było tak mało, żeśmy zaledwie ogólnikowo mogli się porozumieć, co do dalszego trybu działania. Z narady wypadło. że Lewandowski miał uderzyć na Siedlce, do czego mieli służyć ludzie w mieście z organizowani. ludzie z Sokołowa i Węgrowa, pod dowództwem Wł. Jabłonowskiego, — z pod Siedlec, ze wsi okolicznych z Matlińskim na czele, a także część szlachty zaściankowej z okręga Łasickiego pod wodzą Czarkowskiego, Wszystkich powstańców. gdyby się byli stawili na czas, winno było być około dwóch tysięcy, uzbrojonych w kosy i nieco w broń myśliwską.

Tak załatwiwszy się z Lewandowskim, pozostawiłem go dalszemu losowi. a sam pospieszyłem do Łukowa, by zakomunikować księdzu Brzosce o naznaczonem powstaniu. Brzosko miał ludzi w organizacyi dosyć. lecz trudno było mu zebrać ich na godzinę oznaczoną. Miał on w nocy uderzyć na miasto, licząc na współdziałanie kilkudziesięciu żołnierzy Polaków, zorganizowanych w szeregach wojska rosyjskiego.

Do Deckura posłałem rozkaz, by uderzył na Radzyń z ludźmi, jakich zdoła zebrać, sam zaś wróciłem spiesznie do Biały. Na ten punkt najwięcej liczyłem, gdyż przez parę miesięcy mego pobytu tamże. udało mi się wszystkich mieszczan wciągnąć do organiz cyi: w powiecie zaś. oprocz oficyalistów i służby dworskiej. wszystkie zaścianki szlachty były złączone, tak, że można powiedzieć, iż nie było jednego w owej gromadzie. któryby duszą całą nie należał do organizacyi.

W Biały. powinienem był zastać oficera od saperow, Mroczka. jako dowódzcę powiatu Bialskiego. lecz rachuby moje nie sprawdziły się. Na skutek przesłanego przez naszych z Petersburga zadania. komitet Centralny wysłał nagle Mroczka do Kazania, gdzie spodziewał się wywołać dywersyę przez roznieccenie ruchów nad Wołgą. Mroczek w rzeczy samej pojechał. lecz okazało się, że tam w Kazaniu zebrało się wszystkich rewolucyonistów ośmnastu, przez których zaczęto ogłaszać z ł o t e h r a m o t y. Ujęto ich wszystkich i Mroczka z trzema spiskowcami rozstrzelano w Kazaniu.

V.

Musiałem przeto radzić sobie na własną rękę. Z chwilą powstania, zadaniem mojem było: tworzyć oddziały, gromadzić je i posyłać tam, gdzieby wymagała potrzeba. Celem naszym było opanowanie dwóch linii: Warszawskiej i Brzesko-litewskiej i Warszawsko-lubelskiej w kierunku Uściługa. Wołynia i Rusi. Gdyby się nie udało odrazu utrzymać na której z tych linii. mieliśmy przerzucić się za Bug. by powstanie rozniecić na przestrzeni jaknajrozleglejszej. a tem samem i rozdrobnić siły nieprzyjacielskie. W organizacyi naszej w Biały mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódzca bateryi Suchodolski i adjutant jego Zalewski. Oprócz tego było szesnastu kanonierów — Polaków w owej bateryi i kilku żołnierzy z piechoty. Siły rosyjskie w Biały składały się z bateryi artyleryi, z dowódzcą Suchodolskim i adjutantem Zalewskim. roty piechoty (250 ludzi), roty inwalidów (2[illegible] ludzi) sotni kozaków i żandarmów, wszystkiego [illegible] ludzi, dowodzonych przez generała Manajewa. W powiecie zaś rozlokowani byli: w Łomazach szwadron ułanów. w Kodniu nad Bugiem pałk artyleryi. 4[illegible] ludzi, uzbrojonych w karabiny, — w Międzyrzecu dwa szwadrony ułanow. z pułkownikiem. Czwarty szwadron stąd w Siedlcach.

Liczyłem bardzo na powiat bialski, był bodaj że najlepiej zorganizowany, przynajmniej w województwie podlaskiem. Brakło mu broni palnej, lecz kos miał podostatkiem i amunicyi, dostarczonej przez żołnierzy z Brześcia, za pośrednictwem żydków. Było na liście trzy tysiące ludzi, którzy winni byli się stawić na pierwsze wezwanie.

Rozporządziłem się następującym sposobem: W Międzyrzecu naczelnikiem mia-

botę. Za pomocą tego systemu daje się możność mniej więcej systematycznego wykształcenia tym wszystkim, którzy albo wcale nie mają czasu na naukę w wyższych zakładach naukowych, albo też tylko krótko mogą w nich przebywać. Nauczanie za pomocą korespondencyi jest dwojakiego rodzaju: formalne i nieformalne. W pierwszym wypadku studentowi dostarcza się drukowane cyrkularze, które mają być wypełnione. Nauczyciel przytem dostarcza uczniowi systematycznych wskazówek, kierując pracą tak, jak gdyby się ona odbywała w klasie. Student zobowiązany jest co tydzień przesyłać profesorowi piśmienne odpowiedzi na pewną ilość pytań z danego przedmiotu i wymieniać zarazem wszelkie trudności, jakie mu się przytem przedstawiły. Profesor zwraca mu jego wypracowanie wraz z poprawkami błędów i odpowiedniemi wskazówkami. Nauczanie nieformalne przeznaczone jest dla studentów wyższego stopnia, pracujących nad bardziej specyalnemi kwestyami. W tym razie student nie otrzymuje stale cyrkularzy, ale tylko szczegółowy plan pracy, i zobowiązany jest nawzajem przesyłać profesorowi albo szczegółowe opracowanie każdej pojedyńczej tezy, albo od razu całą pracę.

Każdy zajmujący się sprawami oświaty spostrzeże zapewne już z tego, cośmy powyżej powiedzieli, że system nauki przez korespondencyc, aczkolwiek nie może zastąpić nauki systematycznej. — niesłychanie podnieca do pracy duchowej szersze koła społeczne. Już samo piśmienne obcowanie z człowiekiem wybitnym, zajmującym wysokie stanowisko społeczne, przedstawia dla ludzi garnących się do światła, ogromną pobudkę do dalszego rozwoju duchowego. Przy tem także uczenie za pomocą korespondencyi pozwala wytwarzać organizacye, które inaczej nie doszłyby nigdy do skutku. Łączy ono w związki szerokie koła ludzi zatraconych w najbardziej zapadłych zakątkach kraju, przykutych do jednej miejscowości, a jednak tak często mających gorące pragnienie do życia duchowego w szerszym zakresie.

Trzeci dział instytucyi Chantauqua stanowi, jak mówiliśmy wyżej szkoła letnia. Korzystając z tego, że wielu pracujących ludzi ma wolny czas jedynie latem, urządza się w Chantauqua przez czas paru letnich miesięcy serye wykładów, dopełniając naukę pobieraną przez korespondencye. Przedmioty te obejmują dalszy ciąg nauk z działu „kolegium sztuk wyzwolonych“.

Oprócz tego wykładają tam metody nauczania: pedagogikę i metodykę pojedyńczych nauk; dalej idą wykłady z działu sztuk pięknych, muzyka, gimnastyka, elokwencya, wykład biblii i lekcye według wzoru t. zw. „University extension“, o którym będziemy mówili później. Dla studentów są pobudowane specyalne domki letnie w rodzaju szałasów drewnianych. Lekcye odbywają się na wolnem powietrzu, albo w wielkim gmachu kolegialnym, gdzie też wieczorami urządzają się koncerty i zabawy. Studenci pozostają poddani pewnej dyscyplinie, potrzebnej właściwie tylko dla zachowania porządku wśród tak wielkiej liczby ludzi. Tak np. wszyscy muszą iść do łóżka o 10-tej i wstawać o 7-mej rano. Pod żadnym pozorem nie wolno mieć nikomu u siebie napojów alkoholicznych. Jedzenie odbywa się w pewnej określonej porze itd. Mimo to w Chantauqua, jak też zresztą i w innych szkołach letnich. panuje niesłychanie wesoły nastrój ducha. Młodzież obojga płci urządza wspólne zabawy, wycieczki gremialne po pięknej okolicy, wieczorami zaś maskarady, tańce, przedstawienia etc. i spędza czas bezwarunkowo przyjemniej, aniżeli u nas, nawet w arystokratycznych „wodach“.

Obecnie w Ameryce istnieje 50 takich zgromadzeń na wzór Chantauqua. Opłata za wykłady w szkole i przez korespondencye, jako też za kierunek w czytaniu, jest niewielka i dla każdego dostępna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Trochę wrażeń z wycieczki po Bośni i Hercogowinie.

Sarajewo-Mostar, sierpień 1896 r.

Dziwne u nas słuchy krążą o Bośni. Pomijam nierozsądne gadaniny „ignorantów“, lecz wielu t. zw. wykształconych bardzo niejasne i niewyraźne o kraju tym ma pojęcie. To też gdy oświadczyłem się z zamiarem jechania do Bośni, jednocześnie uznano projekt mój za co najmniej... niepraktyczny.

I nic dziwnego. W Niemczech całych, a nawet, wstyd powiedzieć, w Austryi, która przecież kraje te okupowała, nasłuchać się można tak wiele dziwacznych i bezsensownych o kraju tym wiadomości, że zdawaćby się mogło, że Bośnia z Hercegowiną — to ląd oddalony, a jej mieszkańcy — barbarzyńcy, gotowi czychać na cię z nożem i trucizną w ręku...

Bośnia zaś jest ciekawą, w Bośni jest co widzieć i czemu się przypatrzeć, jest kraj nowy odmienny, stary, jeżeli weźmiemy jego historyę i przeszłość pod uwagę, a przecież młody i świeży, z żądzą odrodzenia się naprzód wciąż kroczący, oryginalny i w swoim rodzaju może jedyny. Więc jest tu to wszystko, co może zastanowić i przykuć uwagę, co wartem jest, choćby nawet najkrótszego tu pobytu, a wreszcie prawdziwie zająć może i zainteresować. I nie sądźcie, by tam tylko były te pasma gór lesistych, lub dzikich i kamienistych, które wzdłuż i w szerz Bośnię przerzynają, albo te pola szerokie, lub ugory niewdzięczne, te winnice, stada kóz i owiec, lub całe roje innych rzeczy, nie. Tu ludzie w pierwszym rzędzie są tem, co zająć może i powinno w drugim zaś rzędzie — postęp niebywały jaki kraj ten za sprawą cudzoziemców i najeźdźców w niespełna lat 18 uczynił...

A ponieważ ci słowianie — to bracia

---

ta był syn urzędnika tamecznego, Krysiński, energiczny, dzielny młodzieniec. Pod jego to dowództwem mieszczanie powinni byli uderzyć na koszary ułanów, spalić je i zabrać, co się da. Oprócz ludzi z miasta, miał przybyć na pomoc zaścianek Bojarów (wielu zapewne nie wie,ześmy ich mieli w kraju), a miało ich być z górą stu ludzi. Po zdobyciu winien był Krysiński podążyć do głównego obozu w Biały. (Ten sam Krysiński był następnie oddzielnym dowódzcą, po powrocie z Litwy z oddziałem Lewandowskiego i wsławił się wieloma bitwami w powstaniu).

Do Kodnia przeznaczyłem Nenckiego, rządzcę z kodeńskiego majątku Krasińskich, byłego żołnierza z batalionów Oremburgskich, gdzie się dosłużył stopnia podoficera. Do napadu służyć mieli ludzie kodeńscy i dwa zaścianki: Tuczna i Wizki, 250 żołnierzy liczące.

Do Łomaz naznaczyłem kolegę mego Czapińskiego, rodem z Biały, ze szlachtą z zaścianku Huszczy, 250 ludzi, i z mieszczaństwem z Łamaz. Głównie na czele tego oddziału stał ks. proboszcz owych zaścianków — Nawrecki, ekskapelan II pułku ułanów z r. 1830, dzielny i prawy jako kapłan, żołnierz i obywatel kraju. Zesłany na Syberyę, umarł następnie w Rosyi.

Na pierwszą noc pozostałem sam w Biały. Oprócz mieszczan powinien był przybyć zaścianek z pod Łozic, do którego wysłałem Baltazara Wolanina, nauczyciela powiatowej szkoły bialskiej, a od Janowa Podlaskiego powinno było przybyć około 400 powstańców pod wodzą X Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem, wreszcie od Zalesia około stu ludzi z Kaźmirzem Bogusławskim. Mogłem tym sposobem liczyć na posiłek 800 ludzi, oprócz tych, którzy się w mieście znajdowali.

Zanim miałem czas wydać powyższe rozporządzenia, nastąpił pamiętny dzień 22 stycznia... Należało ludzi w mieście zawiadomić, że to dziś w nocy o godz. 12-tej powinniśmy uderzyć na rosyjskie wojska. Dwudziestu ze mną miało wtargnąć do mieszkania Mamajewa i inni, stosownie do rozlokowanego wojska i do siły rozporządzalnej — na baterye, stojącą na krańcu miasta, część na sotnią kozaków, w oddzielnych koszarach konstujących, — inni na piechotę. Liczyłem na popłoch, jaki wywołamy tym niespodziewanym napadem. Prócz tego Suchodolski i Zalewski zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacyi, mieli wystraszyć strzałami konie, by ich trudno było użyć artylerzystom. Nie byłem przeto pozbawiony widoków powodzenia... lecz widocznie inaczej było zapisane w księdze wyroków Opatrzności.

VI.

Gdym objawił mieszczanom, że nadszedł dzień powstania, rzucili się do kościoła, by wyjednać sobie błogosławieństwo i rozgrzeszenie. Nie było to tchórzostwo, lecz prawdziwie chrześciańskie uczucie. Księża Reformaci przestraszyli się i na spowiedzi nie chcieli dać rozgrzeszenia, odradzając im fatalnego kroku i mordowania bliźnich. Dano mi o tem znać. Można sobie wyobrazić, w jakie mnie to wprowadziło rozdrażnienie. Wpadłem do kościoła, za mną tłum ludzi. Widzę, że księża rozprawiając, nie dają się przebłagać... W uniesieniu zapowiedziałem, że ich żywcem spalę, jeżeli rozgrzeszenia odmawiać będą. Księża ustąpili i rozpoczęła się spowiedź, lecz dla sprawy fatalne to miało następstwo, gdyż z 200 ludzi zaledwie 80 wieczorem znalazło się na probostwie.

Suchodolski i Zalewski, gdy u nich wieczorem byłem, dla ostatecznego porozumienia się i zapowiedziałem, że nad ranem dowództwo obejmie Suchodolski, — stchórzyli i po mojem odejściu pospieszyli do Mamajewa z zawiadomieniem, że za parę godzin wybuch nastąpi, że należy wyprowadzić armaty na rynek i zebrać wojsko...

Godzina dziesiąta rano... Alarm. Trąbki grać zaczynają, zbierają wojska na rynku, rozkładają ogień, a ja z ośmdziesięcioma ludźmi na skraju tego rynku na probostwie czekam posiłków z zewnątrz, jakie o godz. 12 winny były nadciągnąć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nasi, przeto zrozumiałem będzie, dla czego należy im się szczególniejsza uwaga.

Pierwsze wrażenie, jakie się odbiera, wjeżdżając do Bośni, jest rzecz naturalna, dosyć silne, i jak zawsze przy rzeczach nowych — oryginalne. Z czasem, dość prędko nawet, można przyzwyczaić się do dziwacznych i nieestetycznych zgoła kostyumów, które tu noszą wszyscy, i do mowy gwarliwej i pełnej gestykulacyi, do całego sposobu zachowania się i ruchów mieszkańców, do nich samych wreszcie... Lecz nim skreślę parę słów o ich tegoczesnem życiu i urządzeniach, warto nadmienić, co się tu działo lat temu 18, przed okupacyą austryacką i przed wtargnięciem całej zgrai różnojęzycznych urzędników i żołnierzy cesarsko-królewskich.

Stosunki tu były okropne. Bośnia, rzec można, przygnieciona i dławiona przez dzikich i okrutnych barbarzyńców tureckich, jęczała i płakała łzami, które wyciskały tyrania, samowola, bezrząd, despotyzm pomięszane z kompletnym chaosem i niemocą, o której słabe tylko pojęcie mieć może ten, kto śledzi obecne ruchy powstańcze w prowincyach tureckich. Znaną jest historya okupacyi. Opisywać jej nie potrzeba. Dość, że Austryi przyszło w udziale wziąć pod zupełny protektorat i opiekę dwa te piękne i bogate kraje, które rządy tureckie przywiodły do zupełnego nieledwie upadku. Miałem sposobność, na każdym kroku zresztą, rozmawiania tu z urzędnikami i wojskowymi niemieckimi, jak również i z tuziemcami. Doprawdy, wierzyć się nie chce, by w lat 18 można silną wolą, żelazną dłonią i hojnie szafowanym groszem uczynić z kraju upadłego obecną Bośnię i Hercogowinę, a z ludu dzikiego, nieufnego, podejrzliwego i w wysokim stopniu opornego na wpływy lepsze, — baranków łagodnych, dobrych, poczciwych, wcale rozwiniętych, mających zupełne pojęcie o tem, co może dać cywilizacya i zdających sobie jasno sprawę z tego, że iść naprzód z postępem nietylko można, ale trzeba.

I rzeczywiście. Teraz, nocą czy dniem, z zupełnym spokojem i bez obawy najmniejszej, śmiało podróżować można pieszo wszędzie po Bośni całej, można polegać na dobrej woli pierwszego lepszego wieśniaka, którego wygląd jednak może nie na żarty przestraszyć. Ileż tu pracy choćby w tem podniesieniu ludzkiej godności i samopoznania w całej masie narodu! A przecie nietylko to uczyniono. Zaprowadzono szkoły, pobudowano kościoły, dano urzędy i ustanowiono porządek. Pobudowano koleje, umontowano fabryki, przemysł z pieluch podniesiono, albo wręcz stworzono, miasta urządzono, wsiami się zaopiekowano, przeprowadzono pokaźną ilość dróg i szos pierwszorzędnego rodzaju, bez obawy mogących konkurować z górskiemi szosami w Niemczech. A jednak nie poszło to tak łatwo. Państwo austryackie miało tu nielada zadanie o b j ą ć ziemię tę w administracyą i trafić do przekonania zdziczałym jej mieszkańcom. Były więc bunty i przelewano krew, — a teraz nawet w to uwierzyć trudno. I doprawdy jak Europa nasza długa i szeroka, tak nie ma w niej kraju, któryby w ostatnich latach mógł służyć tak namacalnym dowodem, co może ład, porządek i siła. I choćby już dla tego Bośnia jest ciekawą.

Do Bośni przyjechałem przez Bosna-Brod. Jest to stacya pograniczna, która łączy kraj tutejszy z Europą. Dla tego jest ożywioną i pełną podróżnych zawsze. Inny świat się zaczyna wraz z tą małą stacyą. Mężczyźni rośli, silni, postawni w swych szczerze brzydkich i dziwnie nieestetycznych kostyumach, całe masy Turków, których byś tu ani nie poznał, tak są cisi i pokorni, kobiety śmiałe, żywe, energiczne... w spodniach tureckich, z małym fezem na głowie, z pod fezu zaś obowiązkowo dwa warkocze na plecy spuszczone, wieśniacy, noszący się odrębniej w czerwonych chustach, zawiązanych na głowie na sposób turecki i w białym kostyumie z pasem, mieszczącym w sobie całkowity sklep norymberski, żydzi bośniaccy, t. zw. w języku tutejszym „spanioly„, noszący się z bośniacka — wszystko to, nawet dla tego, co tu przyjeżdża z Węgier, jest nowe, dziwne, inne, oryginalne... Tu kończy się nasza zwykła, szablonowa i jałowa Europa, czujesz, żeś wpadł gdzieś, gdzie już Wschód bije w oczy i całkowicie sobą absorbuje. Ale nie masz żalu o to. Jakaś dziwna otucha wstępuje w serce i jakaś radość, ożywienie i wesołość, że te czarne lub kolorowe tużurki i surduty znikły za tobą, że malowane lalki w maszynach na piersiach i dzwonkowatych spódnicach podziały się gdzieś daleko. Z ciekawością i zainteresowaniem przypatrujesz się tej ożywionej gromadce, która gestykuluje przed tobą, uśmiechasz się, że ci się z nieufnością przypatrują, radujesz się, że ci słowianie mówią tak podobnie do twego rodzonego języka, że chwilami gotóweś przysiądz, iż to Polska.

Pociągi obowiązkowo osobowe. W Bośni inne nie chodzą. Tór jest wązki, o wiele węższy niż zwykły. Mówią, że dla tego, iż po górach biedz musi, ale poczynają już żałować tego. W Hercogowinie jest nawet t. zw. „Zahnradbahn“, tj. kolej zębata. Rzeczywiście nie na małe wyżyny wspinać się musi ta lokomotywka, by uciągnąć swych różnokolorowych podróżnych. Co jest tu oryginalne, ale konieczne i zupełnie zrozumiałe, to to, że wszystko tu jest wojskowe i pod zarządem wojskowym, tak więc poczta, urzędy i drogi, a kolej dopiero od roku poczęła zwać się Bosn- Herz. Staatsbahn. Służbę zatem na poczcie pełnią wojskowi wyłącznie.

Nie jestem przyjacielem Niemców. To też bardzo niesympatycznie mnie uderzają na każdym kroku, gdzie tylko z władzą zetknąć się trzeba; te uniformy, ta mowa gwarliwa, ta zarozumiałość i pycha wreszcie humor mi psują... Przyznać jednak trzeba, że panowie austryacy położyli tu zasługi niemałe, — niestety zasługi te maleją wobec wcale niedwuznacznego pewnika, że to wszystko uczyniono z pobudek jedynie najgorszych i najniehumanitarniejszych zawsze i wszędzie, bo zaborczych, a powtóre, że ci panowie w kraju nie swoim z u p e ł n i e, należącym przecież jeszcze do Turcyi, jeżeli rzecz brać będziemy d e i u r e rozpanaszają się i rozwalają, jakby w kraju własnym... Mimowoli przychodzi na myśl, co to będzie później, gdy Bośnia wejdzie w skład „wielkiej ojczyzny austryackiej“ zupełnie. A że tak się stanie, na to nie potrzeba być wielkim prorokiem. Jest to rzecz oczywista. Termin okupacyi upływa za lat dwa, Turcya nie ma ani pieniędzy na zapłacenie olbrzymich wkładów, jakie tu poczyniła Austrya, ani sił dosyć na zmierzenie się z Cis i Przedlitawią. Konsekwencye przedstawiają się jasno. Przebąkują tu o wojnie lub prolongacie okupacyi. To drugie jest chyba najprawdopodobniejszem... Tutaj ludziska wyczekują ciekawie „co to będzie“, i nie dziw; przecie ich to tak blizko, tak bardzo blizko dotyczy! Pytałem, tak dla ciekawości, wielu austryaków, osiedlonych tutaj i mających fach albo interesa handlowe, coby też uczynili, gdyby tak Bośnia m u s i a ł a wrócić pod zarząd turecki? „A tobym w tej chwili uciekł do Austryi“, — odpowiadał każdy. „Nie zostałby pan tutaj? — pytałem. „Za nic w świecie, — odpowiadał — pan chyba nie masz pojęcia, co to jest Turcya?“

To się nazywa wyrobić sobie reputacyę „solidnego“ państwa!... W Bośni naród mówi po serbsko-chorwacku, nie pozwala się jednakże nazywać serbami lub chorwatami. Tradycya niezależnej Bośni żyje tu pomimo tylowiekowego ucisku tureckiego... Jednak bośniacy utracili w tej niewoli dużo z tego, co się zalicza do ogólnej własności narodowej. „Skurczyli“ się, można powiedzieć, przejęli od swych panów dużo właściwości i cech, przejęli częściowo wiarę, zupełnie kostyum i niemało zwyczaji i obyczaji... To też Bośniak dzisiejszy to już nie ten, co żył i bił się za czasów wolnego królestwa bośniackiego. Ale zresztą mówią niezłomnie Niemcom: „my bośniacy zostaniemy bośniakami.“

Kostyum bośniaka ze sfery kupieckiej, miejskiej w ogóle, składa się z t. zw. tutaj pogardliwie przez Austryaków „Rewolwerhosen“, tj. wązkich u dołu a szerokich u góry spodni, mających z tyłu olbrzymi zwieszający się worek, z kaftana haftowanego na plecach, jasnej koszuli i fezu na głowie. Chłopi, jak wspomniałem, noszą na głowie chusty wiązane i rzadziej już „Rewolwerhosen.“ Wszyscy zaś mają olbrzymie, jak niegdyś nasze, pasy, które co najmniej z pięć minut wiązać trzeba. Turcy noszą się zupełnie podobnie. Niektórzy mają zawoje i wierzchnie ciemne lub jasne płaszcze. Kobiety strój przejęły od turczynek. Noszą fezki małe na głowie, bluzki (i tu nawet nasze modne bufy europejskie chwilowo wprowadzono!) i... szerokie, pakowne szarawary, które czynią je podobnemi, jak trafnie zauważył jeden mój świeży znajomy, do niedźwiedzi, bawiących się w chodzenie na dwóch nogach... Może się kto oburzy, ale te kostyumy nawodzą grzeszne myśli do głowy, wzbudzają żądze i porywy, z gatunku tych gorętszych... Niewiem, czy to na to obliczano...

Turczynki noszą spodnie takie same, tylko jeszcze więcej „męzkie“. Nie pokazują się jednak w nich na ulicy, lecz w szerokiem, do ziemi spływającem okryciu. Głowę i twarz całą według rytuału zasłaniają białym woalem. Wyglądają jak bardzo odstręczające zakonnice. Mówią bośniacy, że to dla tego, by każdemu „giaurowi“ a i obcemu turkowi również obrzydzić spotkaną turczynkę zupełnie. W Hercogowinie noszą kobiety tureckie na twarzy siatki. Jest to więc swojska menażerya.

Niektóre się emancypują. Noszą się więcej z europejska i głowę zasłaniają .. spódnicą. Zwykłe turczynki noszą podwójne buciki: wierzchnie głębokie są zwykle z żółtej skóry i wcale ładne.

Jak w Turcyi zresztą, surowo jest tu wzbronionem obcemu mężczyźnie zaglądać turczynkom w oczy. Za zdarcie zasłony państwo austryackie naznaczyło nawet kilkomiesięczną wieżę. Nie liczę tu, ma się rozumieć, możliwości zakłucia przez interesowanego turka, o co tu nietrudno. Turcy tu przestali już dawno, rzecz prosta, odgrywać rolę, jaką grali za czasów przedokupacyjnych... Teraz są cisi i „pokornego serca“. Nie chcą nic od nikogo, pragną tylko, by im pozwolono spokojnie oszukiwać przy swych kramach, kochać bezpiecznie swe żony w zbytkownie urządzonych świetliczach i odbywać rytualne omywania i modlitwy, gdy ich muezzin z wysokości swej wieży do tego wzywa. Zresztą, wszyscy oni prawie, prócz „uczonych“, zapomnieli, a raczej nie nauczyli się po turecku i mówią językiem krajowym, serbskim. Wielu z nich, z najbogatszych, wnet po okupacyi, utraciwszy swe względy i znaczenie, zmuszeni do uległości przez rząd najezdniczy, wyemigrowało do Turcyi i tam się osiedliło. Pozostali ci, co musieli. Są więc „grzeczni“; rząd zresztą bardzo niesprawiedliwie w stosunku

do bośniaków jest dla nich niezwykle względnym i łagodnym, na przekroczenia ich patrzy przez szpary i wiele win darowywa... Takie postępowanie gdzieindziej nazywa się demoralizującem, tu jednak ze względów „wyższej polityki" musi być nietylko tolerowanem, ale zapewne i chwalonem.

(Dokończenie nastąpi).

TO I OWO.

Moralność, sztuka i religia w obec panoramy częstochowskiej.

Przed kilku tygodniami specyalnie wysłani do Częstochowy sprawozdawcy pism warszawskich ogłosili w swych organach teologiczno-artystyczne rozprawy z powodu otwarcia panoramy Golgoty. Panoramę tę sprowadzili do Częstochowy pp. artysta-malarz Stanisław Radziejowski i doktór praw z Krakowa Henryk Lgocki; malowali zaś ją Niemcy, pp. Frosch i Krieger. Drugą taką samą panoramę wymalował, jak wiemy z reklam, malarz Jan Styka; ta jest obecnie we Lwowie i ściągnąć ma niebawem do Warszawy, gdzie wznoszą dla niej gmach przy ul. Karowej. Zanim gmach ten stanie, zapewne parę jeszcze panoram tejże treści rozpoczną malować nasi malarze. Panorama częstochowska, pomimo że jest marnem dziełem sztuki (jeśli wogóle panorama może być dziełem sztuki), daje dobre dochody przedsiębiorcom. Trzeba przyznać, że w historyi pomysłów spekulacyjnych, obliczonych na obfity i łatwy połów pieniędzy, myśl otworzenia podobnej panoramy w Częstochowie uważać należy za jedną z najgenialniejszych.

„Przegląd Katolicki" przeczuł odrazu, że od tej spekulacyi bardzo blizko do zniewagi rzeczy świętych i posłuszny pierwszemu instynktowi, zaprotestował w r. z. przeciwko urządzaniu panoram na temat Golgoty. Przemogły wpływy kupieckie przedsiębiorców, głównie p. Styki, mającego daleko poważniejsze stosunki w wpływowych sferach galicyjskich, niż na Parnasie.

Jak tedy panorama artysty-malarza Radziejowskiego reprezentuje sztukę w Częstochwie? Odpowiedź znajdujemy w „Gazecie Warszawskiej" w artykule pt. „Ne misceatur sacra profanis:"

„Prostota ducha pątników, ten nastrój uroczysty, który owiewa wszystkich na Jasnogórze, a może potrosze i własne zabiegi przedsiębiorców, skierowane do otoczenia pewnym nimbem całej panoramy, w skutkach swoich wywołały coś tak niezwykłego i, przyznajemy to otwarcie, coś tak niemiłe czyniącego wrażenie, że wydaje nam się obowiązkiem powstrzymać dalsze zapędy. Osoby, które już w czasie pielgrzymek oglądały „Golgotę," są oburzone na pewne, delikatnie mówiąc, niewłaściwości przedsiębiorców.

Panowie ci, pragną widocznie wpoić w lud przekonanie, jakoby to było miejsce uświęcone, nakazują zwiedzającym jakąś powagę, objawiającą się np. obowiązkiem zdejmowania z głowy kapeluszy i czapek...

Powody tego ostracyzmu kapeluszowego tkwią oczywiście głębiej. Jasną dla nas jest chęć nadania panoramie pozorów miejsca uświęconego, któreby jako takie urokiem swoim pociągały tłumy. Owe tłumy ciągną też tu z namaszczeniem i nie zdają sobie sprawy, że to nie miejsce, gdzieby się odprawiały Sakramenta Święte, lub choćby śpiewy i modlitwy, że to nie figury przydrożne, przed któremi kornie chyli się czoła, ale tylko przedsiębiorstwo obrachowane na przynoszenie zysków. Co więcej, nawet kompanie z Krzyżem Świętym obchodzą panoramę, jak zwykły czynić przed kaplicami!

Pobożnego ludu naszego nie reflektuje nic, ani nawet napisy w różnych językach, on nie zdaje sobie sprawy z tego, że poza figurami osób, które wielbić przywykł, kryje się jakaś kasa i księgi handlowe, przyklęka też przy wejściu, żegna się i modli w miejscu, które z Kościołem nie ma nic wspólnego."

Oto przykład, do czego dojść może artysta, kiedy się stanie spekulantem. Nie wyobrażam sobie większego upokorzenia ambicyi artystycznych nad to, jakie może sprawić widok prostych uczuć tłumu, wezbranych nieproporcyonalnie do środków, któremi artysta miał efekt wywrzeć, niezależnie od tych środków i rezultatów artystycznych, jakie osiągnął. Jeśli to zapożyczanie wpływów, ze źródeł nie mających ze sztuką nic wspólnego, odbywa się świadomie, to przedstawmy sobie, jak gruboskórną musi być jednostka, która się tego dopuszcza!

Do artykułu „Gaz. Warsz." dodać to możemy, że do nadania panoramie tego charakteru miejsca świętego przyczyniły się niemało dzienniki warszawskie artykułami, których ton nie licował bynajmniej ze spekulacyjnym charakterem przedsiębiorstwa. Prosimy o przeczytanie np. artykułu p. Adama Dobrowolskiego w Nr. 202 „Kuryera Codziennego"

* * *

Bezcelowe i prawdziwe bohaterstwo.

Jeden z rodaków Nansena, F. Svensen z powodu jego powrotu, poświęca jego przedsięwzięciu bardzo interesujące uwagi pt. „Bezcelowe i prawdziwe bohaterstwo".

Nie samo tylko fizyczne a nawet umysłowe wytężenie — czytamy tam — jest warunkiem bohaterstwa. Ktoś, jako sportsmen, może najogromniejsze prace wykonywać, może wdrapywać się na najwyższe góry, albo w otwartej łódce przepłynąć przez ocean, albo boso obiedz ziemię w około, a przecież jego bohaterstwo będzie miało ten posmak komedjancki, który nieodłączny jest od przygód toreadora.

Bohaterowie w Ariostowskim „Orlandzie szalonym", jak wogóle reprezentanci średniowiecznych ideałów rycerskich, pod niejednym względem podobni są do nowożytnych sportsmenów. Wyruszają w pole, aby zwyciężać smoki i olbrzymy lub innych dzielnych rycerzy. Ale w gruncie rzeczy chodzi im jedynie o to, aby dokonywać czynów zarówno śmiałych jak bezcelowych. Miłosne przygody i chrześciaństwo bowiem było tylko dekoracją. Rzecz sama, oczyszczona z ozdób, daje sławę dzisiejszego sportsmena, którego ambicją jest, aby „uzyskać najlepszy rekord". A jestto najgorszą i najszkodliwszą stroną nowożytnej sportomanii, że rozpowszechnia w zastraszający sposób łatwe i bezcelowe bohaterstwo. Ambicja młodzieży odwraca się w ten sposób od „zbyt poważnych" celów, a zamienia się w pospolitą próżność.

Owóż w tych czasach rozmaitych „rekordów" niezwykle odświeżające wrażenie robi czyn prawdziwego bohaterstwa. Takiego bowiem czynu dokonał właśnie Norwegczyk Fritjof Nansen!

W usługach wiedzy, aby rozszerzyć wiadomości nasze o kuli ziemskiej, na której żyje i działa ród ludzki, wyruszył z garstką odważnych towarzyszy w wieczne lody morza biegunowego. A kiedy okręt zuchwałych Norwegów posunął się dalej niż kiedykolwiek stopa ludzka stanęła, śmiały badacz opuszcza go z jednym tylko towarzyszem i puszcza się dalej ku biegunowi przez nieskończone, spiętrzone pola lodowe. Wiele tygodni obaj posuwają się naprzód, aż ujrzeli się zmuszonymi cefnąć się z okolic niezbadanych dotąd. I znów przechodzą miesiące samotnej wędrówki, aż wreszcie ci dwaj samotni zimować muszą. Nansen sam opisuje to zimowe leże w następujących słowach:

„Dnia 18. sierpnia zostaliśmy na cały tydzień zamknięci przez lody, a d. 26 dotarliśmy do lądu pod 81 stopniem 12 min. północnej szerokości a 56 stopni wschodniej długości, gdzie się nam wydało stosowne do przezimowania miejsce. Uważaliśmy więc za najlepsze tu pozostać i przygotować na zimę, gdyż zapóźno już było na długą podróż do Szpicbergów. Strzelaliśmy niedźwiedzie na pożywienie, foki na olej do palenia, zbudowaliśmy domek z kamieni, ziemi i mchu, a dach pokryliśmy skórami fok. Słoninę używaliśmy do gotowania, na światło i opał. Mięso niedźwiedzie i słonina — to było jedyne nasze pożywienie, skóry niedźwiedzie naszem posłaniem. Zima przeszła dobrze a zdrowie nasze trzymało się doskonale. Wreszcie nadeszła wiosna a z nią słońce i wolne przestrzenie morza na zachodzie i południowym zachodzie..."

Zdaje mi się, że rzadko kiedy w prostrzy i skromniejszy sposób donoszono o prawdziwem bohaterstwie. Uprzytomnijmy sobie życie obu samotników, miesiące i miesiące lodowej nocy polarnej, w których wyczekiwali ponownego ukazania się słońca.

„Wreszcie przyszła wiosna, a z nią słońce wolne przestrzenie morza."...Ale czy wiosna przyniesie ocalenie? Czy prawdopodobnem jest, aby w okolice lodowe zawinął okręt, któryby zabrał obu? Czy też nowa zima zastanie ich tu i wyda ich w końcu śmierci głodowej? Wszak to już trzy lata, jak opuścili ojczyznę, z jakiemże uczuciem myślą o nich przyjaciele w domu, z jakiem uczuciem myślał Nansen o żonie i dziecku? Któżby tu nieprzypomniał sobie mimowoli słów, które Homer Odysseusowi, tęskniącemu za Penelopą i Telemakiem, w usta wkłada!

A potem cudowne ocalenie, nagły powrót, zasłużony entuzjazm rodaków, współudział i współczucie całego świata około radości z powodu dokonanego czynu. A przytem ta za serce chwytająca skromność, z jaką Nansen skwapliwie starał się o uzyskanie dla swoich towarzyszy należnego uznania powszechnego!

Oto prawdziwy bohater, bohater wiedzy, wzór dla młodzieży, jak dokonywać męskich czynów!

NA WYŁOMIE.

(Martwy sezon. — Manifest Armeńczyków. — Pod adresem pań z prowincyi. — Nowe pismo).

Sezon upałów i burz gradowych, wiejskich idyl i nadmorskich flirtów, górskich wycieczek i nieodłączonych zachwytów nad cudami przyrody, rzadko szczerych i oryginalnych, częściej fałszywych i banalnych, zbliża się ku końcowi. U nas w dodatku był to sezon pogrzebów...

W tej atmosferze kanikuły i letnictwa instynkt społeczny przeciętnych umysłów ludzkich układa się do snu błogiego i przybiwszy nad łóżkiem kartę z napisem „Niech mnie nikt nie budzi", tylko w nadzwyczajnych wypadkach oczy otwiera, by rozejrzawszy się zaspanem okiem po świecie, znów drzemać dalej i dalej. Dziś jednak rozpoczyna się już przebudzenie na dobre. Ludzie wracają z letnich wędrówek do siedzib swoich, jeszcze rozbawieni, jeszcze odświet-

ni, jeszcze pełni wspomnień minionego *dolce farniente*, lecz z dnia na dzień trzeźwiejsi, ruchliwsi, do walki z życiem gotowi. Cóż przebudzonym ten nowy sezon przyniesie? W oficynach „wielkiej polityki“ nie brak interesujących szeptów i półsłówek, nie brak też rozpaczliwych wołań ludów dręczonych, poświstów kul i jęków pomordowanych szermierzy wolności. Tragiczna walka w państwie sułtana rozbrzmiewa coraz namiętniejszą nutą, a ostatni manifest Armeńczyków jest bolesną skargą na chłód Europy, nie mającej nic dla ofiar tureckiej swawoli, prócz twardego rozkazu: W proch przed potęgą!

Jakże dziwnie zmieniło się oblicze społeczeństw europejskich w ostatnich latach trzydziestu. Był czas, gdy każdy ruch ludów walczących o wolność witano błogosławieństwem, — był czas, gdy na krzyk męki niewolników odpowiadało echo Europy słowem „*In tyrannos!*“ Rozbujała się dusza zbiorowa wielkiem pragnieniem swobody — braterstwo ludów i wolność ludów stały się hasłem cywilizacyi. Lecz dziś rewolucya zdeptanego narodu entuzyazmu nie budzi. Te wielkie bóstwa ideowe, którym w pierwszej połowie stulecia stawiano ołtarze, poszły w poniewierkę, i tak przygasły wielkie uczucia humanitarne, które niegdyś rozpierały serca społeczeństw, tak się ludzkość zaskorupiła w suchym egoizmie, tak dawne orle obniżyła loty, że chyba tylko jaki błędny marzyciel, samotny tułacz na jarmarkach świata, wykolejony z prądów chwili spadkobierca dawnych tradycyi, nastawi ucho na krzyk niewolników i pięść zaciśnie i zgrzytnie. Przed laty 40 Armenia i Kreta stałyby się przedmiotem uwielbienia dla tłumów, — tematem pieśni poetów. A dziś? Dziś w okół głuche milczenie, lubo wielką boleścią tak lud męczony się skarży:

„Bezustannie protestowaliśmy w obec Europy przeciw tyranii tureckiej, ale dotychczas nasze uprawnione żale nie znalazły posłuchu. Sułtan Abdul Hamid odpowiedział nam potokiem krwi armeńskiej. Europa patrzyła na te morderstwa i milczała. Nietylko, że nie powstrzymała dłoni siepacza. lecz nawet odważyła się żądać od nas, abyśmy się ukorzyli... Zginiemy, wiemy o tem, ale rewolucya, która przeniknie wszystkie warstwy narodu armeńskiego, będzie tak długo trwała i zagrażała tronowi sułtana, aż nie zdobędziemy naszych praw człowieka, lub do chwili, w której ostatni Armeńczyk odda ducha swego.“

Do nas Polaków echem wspomnień tragicznych mówią te słowa rozpaczy. Oby „dym pożarów“ i „kurz krwi“ armeńskiej, zakończył się nie modlitwą o wolność lecz tryumfem wolności...

Na zakończenie martwego sezonu, w obec na pół dopiero wytrzeźwionych letników pragnąłbym szczerze w tak uroczystym nie przemawiać tonie i weselsze tematy snuć na kanwie mojej. Gdziekolwiek jednak rzucę spojrzeniem po ziemiach bliższej i dalszej ojczyzny, wszędzie witają mnie smutne oblicza uciemiężonych i coraz dziksze okrzyki zaborców. Z trwogą nieomal rozwijam arkusze wielkich i małych dzienników poznańskich, bo pewny jestem, że każdy numer spis nowych gwałtów zawiera. Ze Szląska, Prus zachodnich i Księstwa biją ku nam spotęgowane głosy ucisku, zmierzającego w pierwszej linii do rozbicia wszelkich organizacyi obronnych bytu naszego i stłumienia źródeł życiowych, z których dusza i żołądek narodu czerpią siły swoje. A w tych śmiertelnych zapasach doznaję chwilami wrażenia, jakoby na polskich szańcach i redutach samopomoc zdrzemła się gdzieniegdzie, i wróg bez wysiłku zdobywał serce fortecy. Wspomnę tu tylko o nauce języka polskiego, rozpoczętej z wielkim nakładem zapału, pracy i pieniędzy, a dziś wlokącej żywot anemiczny, równający się w wielu zakątkach prowincyi kresowych bezsile i nieruchomości paralityka. Cóż się stało z „opieką szkolną“? Śpi. Cóż się dzieje z kółkami rodzinnemi? Usnęły. W samym Poznaniu, dzięki energii szlachetniejszych kobiet z różnych warstw towarzyskich, polskie sieroty znajdują jaką taką opiekę i pomoc, lecz z miast i miasteczek prowincyi słychać bezustanne skargi na zupełne opuszczenie dziatwy wydziedziczonej. O! panie moje, — wy, które tak energicznie protestować umiecie, ilekroć jaki Sulla lub Nie-sulla zakwestyonuje doniosłość waszych zasług, ofiarności i pracy narodowej, — dajcież mi nareszcie sposobność, bym z czystem sumieniem, bez zdawkowych komplementów frakowego pana, zgasił gorzkie uśmiechy i uchylił czoło przed działań waszych bilansem. Czy chwili takiej długo jeszcze oczekiwać będę?

Tą smutną nutą nie chcę zakończyć feljetonu mojego. Oto leży przedemną prospekt nowego pisma, poświęconego sprawom rolnictwa, handlu i przemysłu. Tytuł jego „P r a c a“, wydawca p. Bidermann, — redaktor? Krąży jakaś plotka dziwaczna, trudno w nią uwierzyć, choć... Ta plotka kładzie się jak cień posępny na uczuciu zadowolenia, którem mnie napełniła wieść o narodzinach tak niezbędnego w stosunkach naszych czasopisma. Lękam się, że „Praca“ podzieli los poprzedniczek swoich, zgasłych przedwcześnie z powodu wodnitego mleka, którem karmiły je.... mamki. Nie była to zaiste wina społeczeństwa, że żaden z dotychczasowych organów, poświęconych sprawom przemysłu i handlu, usypiał po krótkiej wegetacyi, lecz wina tych, którzy poświęcając kierownictwo czasopism rękom nieudolnym, z góry na śmierć je skazywali. Niechże p. Bidermann zastanowi się dobrze nad losem swojego dziecka, nad warunkami jego egzystencyi, niechże je powierzy takim opiekunom, którzy nowonarodzoną „Pracę“ karmić będą nie wodą banalnych komunałów i aroganckiego beztaktu, lecz mąką wiedzy fachowej i dokładnej znajomości stosunków.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* „Quo vadis“. W „Głosie“ warszawskim p. Józefat Nowiński kończy swą ocenę Sienkiewiczowskiej powieści „Quo vadis“ projektem przeróbki tego utworu na książkę dla młodzieży.

„Kto wie, czy istotna doskonałość takiego skrócenia nie postawiłaby tej powieści w bibliotece dla młodzieży obok przeróbek „Don Kiszota“ i „Chatki wuja Toma.“ Wspaniałe opisy wjazdów, wyjazdów, przedstawień cyrkowych i uczt podniosłyby do wysokiego stopnia wartość kształcącą tej książki.“

Oprócz tego krytyk sądzi, że: „Wielka obfitość pierwiastków dramatycznych umożliwiłaby, przy zamianie pierwszego planu na drugi i odwrotnie, wykrojenie dramatu z tej powieści. Jeżeli marna „Teodora“ tyle lat istniała na scenie, to o ileż razy dłużej mógłby istnieć na niej dramat z „Quo vadis“, który byłby jedną z ozdób najwspanialszego nawet repertuaru.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dwóch wybitnych artystów opuściło teatr krakowski: Marceli Zboiński (angażowany do Lwowa) i Śliwicki (angażowany do Warszawy). — Przedsiębiorstwo opery polskiej Heller-Bandrowski poniosło 12 000 złr. straty. — W czasie zimy podróżować będzie po Królestwie sześć prowincyonalnych towarzystw dramatycznych. — Mascagni pracuje nad nową operą japońską p. t. „Irys.“ Kompozytor studyował przez długi czas muzykę japońską i narzędzia muzyczne, używane w Japonii. — W celu odświeżenia starych dekoracyi teatru poznańskiego i sporządzenia nowych sprowadził p. Edmund Rygier pana Ziembę, młodego malarza z Krakowa. Pan Ziemba poświęca się specyalnie teatralnemu malarstwu i pracował dotychczas dla sceny krakowskiej. — W Medyolanie stowarzyszenia ŚŚ. Ambrożego i Łukasza ogłosiły konkurs na trzy moralne sztuki, kładąc za warunek, aby zawierały tylko role męskie, albowiem występowanie kobiet i panien „jest samo przez się niemoralne i stanowi pierwszy krok na drodze występku.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czesław N. Nowelle te w znacznej części już są tłomaczone. Zresztą odcinek nasz zajęty jest na czas dłuższy.

Konrad. Wiersza: „Czy dziś czy jutro?“ zamieścić nie możemy. Brak tam prostoty, razi sztuczna patetyczność i przebrzmiały Byronizm.

Przyjaciel. Głosy cytowane w „Przeglądzie prasy polskiej“ nie zawsze zgadzają się z opinią redakcyi. Podajemy w tej rubryce cytaty z czasopism najrozmaitszych kierunków, pragnąc informować czytelników naszych o różnych poglądach dziennikarstwa polskiego na ważniejsze kwestye społeczne i polityczne. W sprawie artykułów literackich, poruszonych przez Szanownego Pana, odpowiadamy również, że oczywiście nie każda opinia tam wyrażona odpowiada zupełnie przekonaniom redakcyi. Naszym współpracownikom literackim pozostawiamy względną przynajmniej swobodę zdania.

HUMORYSTYKA.

Także „monopol.“

Jeden z korespondentów poznańskiego „Postępu“ doniósł przed niedawnym czasem, że jakiś żydowski kupiec z Ostrowa, nazwiskiem Grabowski, pobił chrześciańską dziewczynę. W kilka dni później ukazała się w nr. 25 „Gazety Ostrowskiej“ sążnista apologia p. Grabowskiego, która w dziejach idyotyzmów dziennikarskich jest niewątpliwie unikatem. Między innemi tak pisze „Gazeta Ostrowska“:

„Ów korespondent obraził nietylko p. Grabowskiego, ale również i nas; my tu przecie jesteśmy miejscowym organem, nikt nie ma prawa w y ł a w i a ć n a m p r z e d n o s e m s e n s a c y j n y c h w i a d o m o ś c i i w y s y ł a ć i c h z a g r a n i c ę n a s z e g o t e r y t o r y u m a ż d o P o z n a n i a, do nas należy śledztwo i wydawanie wyroków w takich sprawach, i n i k t n i e m a p r a w a o d b i e r a ć n a m m o n o p o l u, j a k i w O s t r o w i e p o s i a d a m y.“

A to monopolistka z tej Gazety Ostrowskiej! Co?!

BIBLIOGRAFJA.

Książki nadesłane Redakcyi.

Ks. Jan Badeni. Ksiądz Karol Antoniewicz. Kraków. 1896.

Józef Chociszewski. Złota książeczka dla dzieci. Poznań. Nakł. K. Kozłowskiego. 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28